Świat Kobiecy

N-R 4 15 LUTEGO 1932 R. ROK XII



CENA ZŁ. 2·25

PREMJE DLA ROCZNYCH PRENUMERATOREK „ŚWIATA KOBIECEGO" NA ROK 1932

Każda Prenumeratorka, która nadeśle zgóry roczną prenumeratę t. j. zł 40·— otrzyma bezpłatnie do wyboru jedną z następujących książek:

Edschmid Kazimierz: Lord Byron. — Romans wielkiej miłości
Istrati Panait: Żagiew i zgliszcza
Makarewicz Róża: Praktyczna kuchnia — Z licznemi rycinami
Victorini Józef: Hodowla drobiu

Każda zaś Prenumeratorka, która nadeśle zgóry półroczną prenumeratę t. j. zł 20·— otrzyma bezpłatnie do wyboru jedną z następujących książek:

Czarnota Jan Kaz.: Kuchnia jarska
Filochowska Helena: Kobra — Nowele
Sinclair May: Anna Severn i Fieldingowie Powieść
Szelburg Ewa: Polne grusze — Powieść
Tokarz W.: Wyrób win i miodów (w oprawie)
Walter Edmund: Pięćdziesiąt pieśni na fortepian
Wiśniewska Marja: Torty i ciasta domowe

NA KOSZTA PRZESYŁKI I OPAKOWANIA PREMJI NALEŻY PRZEKAZAĆ ZŁ 2·—

ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA | N-R 4 — ROK XII | LWÓW — WARSZAWA | 15 LUTEGO 1932 ROKU

KOBIETY NA KONFERENCJI ROZBROJENIOWEJ

NA KONFERENCJĘ rozbrojeniową do Genewy udają się delegacje rządowe i społeczne z różnych krajów. Nie może nie zwrócić uwagi, iż tym razem dano w delegacjach miejsce i kobietom, naogól niechętnie widzianym w oficjalnych przedstawicielstwach w czynnej roli politycznej i na światowych zgromadzeniach.

W delegacji rządowej Stanów Zjednoczonych uczestniczy najwybitniejsza dziś obywatelka Ameryki, Jane Addams, w tym roku odznaczona nagrodą Nobla za działalność pokojową. Sędziwa działaczka ma za sobą wieloletnią akcję na rzecz pokoju światowego, a od 15 lat jest honorową przewodniczącą Kobiecej Międzynarodowej Ligi Pokoju i Wolności, organizacji pacyfistycznej o dość radykalnym programie.

Anglja wysyła na konferencję rozbrojeniową, również w charakterze przedstawicielki rządowej, wybitną feministkę, p. Corbett-Ashby — Polska powołała do swej delegacji oficjalnej panią Annę Szelągowską, zasłużoną działaczkę, wiceprzewodniczącą Klubu Kobiet Postępowych, uczestniczkę wielu prac społecznych w kraju i na terenie międzynarodowym.

I z innych krajów zapowiada się przybycie kobiet w roli oficjalnej na konferencję rozbrojeniową.

Skąd powiał ten, bądź co bądź, nowy prąd na Genewę?

Formalnie zasługę w tej sprawie przypisać trzeba właśnie polskiej delegacji do Ligi Narodów, ściślej mówiąc, pani Annie Szelągowskiej, która na ostatniej sesji postawiła wniosek, zalecający państwom, by w delegacjach na konferencję rozbrojeniową dały miejsce przedstawicielkom organizacyj kobiecych. Jak widać, do zalecenia tego poszczególne rządy chętnie się przychylają obecnie.

Powodzenie wniosku polskiego tłumaczy się tem, iż z kół kobiecych całego świata oddawna podnoszą się bardzo gorące i stanowcze głosy, nawołujące do rozbrojenia, jako jednego z warunków zapobieżenia wojnom i ugruntowania pokoju powszechnego. Od czasu wielkiej wojny światowej, głosy te stały się szczególnie liczne i naglące: straszliwe przeżycia krwawej ery, tragedje narodów, rozbicie rodzin, osobiste dramaty, jakie przeżywały serca kobiet, żon, sióstr i matek, dostarczyły aż nadto wiele argumentów psychologicznych i rzeczowych propagandzie antywojennej lat ostatnich.

To też w organizacjach kobiecych międzynarodowych akcja pokojowa znalazła żywe podłoże do rozwoju. Jako jeden z bezpośrednich postulatów tej sprawy wysuwane było żądanie rozbrojenia — niekiedy w formie absolutnej nawet i bezwzględnej. Oddziaływano zresztą nietylko uczuciowemi przesłankami — organizacje pacyfistyczne opracowały szereg realnych zagadnień, a jednem z najbardziej frapujących i doskonale, naukowo przygotowanych zdarzeń w tej akcji była konferencja Kobiecej Ligi Pokoju i Wolności we Frankfurcie nad Menem w roku 1929, gdzie zdemaskowano wojnę gazową i bakterjologiczną i stanowczo potępiono przedewszystkiem te barbarzyńskie i niszczycielskie metody walki.

W sukurs argumentom pacyfistek przyszedł obecny groźny kryzys ekonomiczny, który cały świat zmusza do rewizji dotychczasowej gospodarki, a państwa do oszczędności budżetowych. Trudno wytrzymać dłużej napór rosnących wciąż wydatków na zbrojenia. — Politycy uznali konieczność zahamowania wyścigu zbrojeń i — szczerze, czy nieszczerze — zaprzęgli dyplomację i wojskowych techników do pracy nad uproszczeniem palącego problemu...

Udział kobiet i ich wpływ agitacyjny został przytem doceniony przez takich mężów stanu, jak Briand, Henderson, Ghandi, którzy niejednokrotnie popierali czynnie akcję i hasła kobiecych organizacyj pokojowych.

Tak więc udział kobiet stał się czynnikiem nieodzownym na konferencji rozbrojeniowej. Oprócz oficjalnego przedstawicielstwa w delegacjach rządowych, międzynarodowe organizacje kobiece, w liczbie 9 uczestniczących i 2 obserwujących, zwołują do Genewy na czas trwania konferencji wielki światowy zjazd pod nazwą Kobiecego Komitetu Rozbrojeniowego, który będzie prowadził szeroką działalność propagandową, będzie organizował demonstracje, zebrania publiczne i t. p. na rzecz idei rozbrojenia — będzie tym sposobem wpływał na nastroje i bieg obrad konferencji.

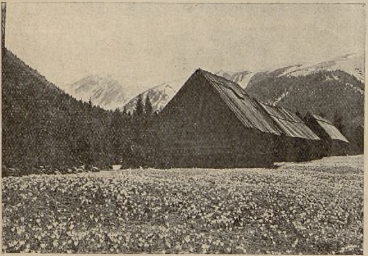
Owo pogotowie pacyfistyczne kobiet będzie reprezentowało opinję miljonów kobiet różnych ras i narodów.

Równolegle do genewskiego Komitetu kobiecego, zawiązują się na czas konferencji społeczne komitety kobiece rozbrojeniowe w różnych krajach. Wysyłają swe delegatki do Genewy. Będą tam i przedstawicielki Polek. W Warszawie powstał w związku z konferencją rozbrojeniową Komitet sześciu organizacyj kobiecych, mających swe odpowiedniki w centralach międzynarodowych, dla podtrzymania łączności z Genewą podczas konferencji rozbrojeniowej.

JADWIGA KRAWCZYŃSKA

PRZEZ OCHRONĘ PRZYRODY DO PARKÓW NARODOWYCH

Zwolna ustępuje zima tatrzańska. Jeszcze na wysokich turniach trzyma się zwarta szata śnieżna, ku dolinom pasma śniegów rozrywają się i wyłaniają z pośród siebie czerniejące grzbiety i żebra skalne. Czas jest przejściowy. Z utęsknieniem czekają wszyscy na dzień prawdziwej wiosny: i ci, co tęsknią za ciepłem i rozkwitem życia i nawet narciarze, którzy pożegnali się już z zimowemi „puchami", a oczekują wiosennego, ziarnistego śniegu na wyżynach Tatr.



Łąka z szafranami (krokusami) na wiosnę w Tatrach

Powoli wytajały pod ciepłemi dotknięciami słońca polanki śródskalne i podtatrzańskie. Jeszcze obejmują je zewszechstron zimne białe masy. Grube pokłady śniegu ukazują na przeciętych skrajach białe i szarawe odcienie nawarstwień, ze zmiennych okresów mrozów i odwilży powstałe. Trawa na wolnych od śniegu połaciach polanek jest wyszarzała i przygnieciona ku ziemi. W cieniach panuje dotkliwe zimno, nocami mróz ścina ziemię, rankami lśnią na trawach szrony.



Obłupiony z gałęzi i zniszczony świerk w okolicy Hali Gąsienicowej
Fot. J. Bujak

Aż nagle, pewnego dnia pojawia się znak zwycięskiej wiosny. Wśród wymokłych traw, pomiędzy potoczkami wody, spływającej ze stopniałych śniegów, wychylają się jasne gwiazdy szafranów (krokusów). Pęd wątłych kwiatków ku życiu jest tak silny, że tu i ówdzie przełamują śnieg i otoczone w łodyżce lodowatym uściskiem kąpią swe główki w promieniach słońca.

Polana zmienia się w ogród kwietny. Nieskończone szeregi kwiatów rozchylają swe kielichy białe, różowe, niebieskawe i żółtawe. Morze subtelnych barw rozlewa się po polanach. W kroplach rosy, zawisłych na płatkach, rozpylają się kolory tęczy. Na znikających polach śnieżnych płoną miljony iskier słonecznych. Potężna pieśń zwyciężającego życia idzie przez górski świat.

Na górską polanę Cyhrlę koło Zakopanego czy Polanę Kiry w Dolinie Kościeliskiej, przywożą furki i powoziki w piękny dzień wiosenny gromady gości z pensjonatów zakopiańskich. Wszak kwitnące łąki krokusów stały się już osobliwością turystyczną! Wysypują się więc z pojazdów niewiasty wszelkiego autoramentu, różniące się między sobą wiekiem i poglądami, ale zgodne w jednym okrzyku zachwytu: „Jakżeż śliczne kwiatki!"

I jak często z afektem związane jest okrucieństwo, tak w chwilę za okrzykami podziwu idzie jeden potężny, żywiołowy, jednobrzmiący odruch: zrywania! Długi szereg przedstawicielek nadobnej płci, często jeszcze przy pomocy „fatygantów" i „galopantów", pragnących okazać gorliwość i zasłużyć się w pięknych oczach swych bogdanek, pochyla się nad polaną i poczyna mordercze dzieło. Setki krokusów wydzieranych systematycznie, napełniają torebki, kapelusze, kosze. Gdy żądze już nasycone, kwiatów narwano tyle, że ich już nigdzie zmieścić nie można, grzbiety już zbolały od nachylania się, towarzystwo odjeżdża.

Polana przygasła, zszarzała. Na miejscu przepychu barw i radości życia, rozpostarł się smutek. Wśród barwnych łanów kwietnych widnieją wydarte dziury szarych traw; szlak hordy napastników, która „zoperowała" polanę, znaczą setki powyrywanych, połamanych i podeptanych trupków kwiatów, które przed kilku godzinami radośnie prężyły się do słońca. Zwalczyły one srogą górską zimę, przemogły śnieg, zwycięsko przebijając jego warstwy w przedziwnem misterjum natury, a uległy zagładzie w zetknięciu z człowiekiem, który powitał je okrzykiem zachwytu, aby je w tej chwili zniszczyć.

Wieczorem w pensjonatach ruch i gwar. Do pokojów wpadają obładowane setkami krokusów, uradowane bogdanki. Zaczyna się żmudna praca układania bukietów i napełniania wszelkich możliwych naczyń kwiatami. Widziałem raz, jak na stole, dookoła którego zebrało się na wieczerzę pensjonatowe towarzystwo, pojawiły się... miednice, napełnione krokusami, gdyż nie można już było nigdzie pomieścić narwanego ich mnóstwa.

Biedne kwiatki przetrwają najwyżej do drugiego dnia i w dniu tym wyrzuca się je na śmietnik, gdzie kończą swój „występ" pensjonatowy, który nie przyniósł nikomu żadnego pożytku, był wyrazem bezmyślnego pędu niszczycielskiego, a ogołocił polanę z największego jej piękna.

To, co dzieje się masowo z krokusami w Tatrach na wiosnę, dzieje się przez cały rok w rozmaitych stronach Polski i zwykle na czele czered ludzkich, wyrywających kwiaty polne, kroczą kobiety. Ileż to razy, gdy zwracałem uwagę przedstawicielkom płci pięknej na niedopuszczalność takiego postępowania, otrzymałem zdziwioną odpowiedź: „Przecież kwiaty są na to, aby je rwać!"

Skończcież raz wreszcie miłe panie, z tym punktem

widzenia. Wyrzućcie go na śmietnik dawnych, przestarzałych poglądów, które pchały kobiety przedewszystkiem w kierunku niszczenia roślin, mężczyzn w kierunku tępienia zwierząt, a cały rodzaj ludzki w kierunku tak gwałtownego wyzyskiwania przyrody, że kończyło się ono zupełnem zniszczeniem jej piękna, zamianą całych połaci świata, niegdyś pięknych, na smutne, jałowe pustynie.

Ale zapytacie się: czy nie przesadzam, czy nie unosi mnie gorliwość „ochroniarska", która wyolbrzymia to, co naszym poglądom, no i moim, jest niedogodne? Na dowód, że nie przesadzam, powołuję się na inny przykład z Tatr. W okolicy Zakopanego, tuż ponad Kuźnicami, rozciąga się Dolina Jaworzynki, znana wszystkim, którzy idą na Halę Gąsienicową. Dolina ta przedstawia obraz straszliwej pustki. Poza odrobiną zieleni, troskliwie chronionej na dnie doliny przez górali, wypasających owce, całe otoczenie doliny jest ogołocone z wszelkich drzew i roślinności. Ze stromych, skalistych, zboczy sypią się niepowstrzymane morza ruchomych piargów, gdzie okiem sięgnąć, obraz spustoszenia i szarzyzny.

A ta sama Dolina Jaworzynki przed stu laty była piękną, wesołą, zieloną i lasem porośniętą doliną, jak dzisiaj Dolina Strążyska, Białego, czy też inne w okolicy Zakopanego. Czynnikiem, który zniszczył jej piękno, był człowiek. Rąbiąc niemiłosiernie lasy Jaworzynki, tępiąc rośliny i kwiaty, wypasając nadmiernie zbocza, doprowadził człowiek w ciągu lat kilkudziesięciu do zamiany kwitnącej doliny tatrzańskiej na smutną pustać.

Musimy więc pamiętać, że nawet małe zniszczenia, dokonywane przez poszczególne jednostki, składają się na wielkie spustoszenia, gdy odbywają się przez czas dłuższy i prowadzą do pozbawienia przyszłych pokoleń tego piękna przyrody, które jest dla nas źródłem zachwytu, odpoczynku i zdrowia.

Celem przeciwdziałania bezmyślnemu i szkodliwemu niszczeniu przyrody, odbywającemu się na całej kuli ziemskiej z rozmaitych pobudek, powstał odruch ochrony przyrody.

Ruch ten szerzy się od dziesiątków lat z wielką siłą we wszystkich cywilizowanych krajach. Wszędzie powstają towarzystwa i ligi ochrony przyrody, w których biorą żywy udział najlepsze jednostki społeczeństw, uczeni, artyści, pracownicy społeczni, a nawet, zdałoby się zagrożeni przez ochronę przyrody w swych zamierzeniach, przemysłowcy. Do pracy stanęły też towarzystwa naukowe, przedewszystkiem przyrodnicze, kulturalne oraz turystyczne. Dla tych ostatnich ochrona przyrody stała się prawdziwą racją stanu, warunkiem istnienia, gdyż zniszczenie przyrody pozbawia turystykę najbardziej atrakcyjnego momentu, jakim jest piękno zwiedzanego przez turystę kraju. Żywiołowemu ruchowi społecznemu udzielają poparcia rządy we wszystkich cywilizowanych państwach, tworząc specjalne komisje, urzędy, lub też referaty ochrony przyrody.

Potężne takie organizacje społeczne i wzorową opiekę nad ochroną przyrody posiadają Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, Kanada, Anglja, Szwecja, Szwajcarja, Niemcy, przyczem w każdym z tych krajów rozwiązuje się zagadnienie w różne sposoby, odpowiadające potrzebom miejscowym.

Polska pracuje na polu ochrony przyrody żywo i dobrze. Organizacją, która skupia w sobie wszystkie towarzystwa kulturalne, naukowe, społeczne i turystyczne, jest *Liga Ochrony Przyrody*, mająca centralę w Warszawie i oddziały w głównych miastach Polski. Niektóre z towarzystw turystycznych, jak Polskie Towarzystwo Tatrzańskie w obszarach górskich, Polskie Towarzystwo Krajoznawcze na obszarach nizinnych, rozwijają szczególnie intensywną pracę nad ochroną przyrody. Polskie Towarzystwo Tatrzańskie przeniosło całą sprawę także na teren międzynarodowy, propagując z bardzo dobrym skutkiem hasła ochrony przyrody w Asocjacji Słowiańskich Towarzystw Turystycznych, która obejmuje Czechosłowację, Jugosławję i Bułgarję.



Przełom Dunajca przez Park Narodowy Pieniński
Fot. Kalisz i Święch

Urzędową opiekę nad naszą akcją w Polsce wykonuje Państwowa Rada Ochrony Przyrody, pozostająca pod znakomitem i niestrudzonem kierownictwem prof. Uniwersytetu Jag. dra Władysława Szafera, delegata Ministerstwa W. R. i O. P. dla spraw ochrony przyrody. Państwowa Rada Ochrony Przyrody, której siedzibą



Panorama górska w Tatrach w okolicy Jaworzyny Spiskiej
Fot. T. i G. Zwolińscy

jest Kraków, posiada swe komitety w Warszawie, Poznaniu, Katowicach, Wilnie i Lwowie, rozwija wszechstronną i energiczną działalność na wszystkich polach ochrony przyrody, wydaje wspaniały rocznik „Ochrona Przyrody" i inne cenne publikacje.

(Dok. nast.)

DR WALERY GOETEL
Prof. Akademji Górniczej w Krakowie

NIEKORONOWANA KRÓLOWA POLSKA

SPISYWANO TOMY na temat kochanek króla Augusta Mocnego, przeszły one nietylko do literatury, ale dziś jeszcze święcą triumfy na ekranach filmowych. Mało natomiast wiadomo o jego prawowitej małżonce. Często tak bywa. Nie miała wiele ozdoby w życiu nie znalazłaby była zapewne swego dziejopisarza, który chciałby poświęcić pracę wspomnieniu kobiety, którą zaniedbał mąż, nad którą przeszedł do porządku syn — gdyby nie pewne aktualne racje polityczne. Otóż w obecnym antagonizmie polsko - niemieckim uważano za wskazane uczcić uroczystym obchodem w Pretsch, w Saksonji, dwóchsetlecie śmierci owej bohaterki niemieckiej, która trzydziestoletniem osamotnieniem przepłaciła swe przywiązanie do wiary protestanckiej, która wzgardziła koroną polską, poprzestając jedynie na tytule królowej i zyskała wzamian za to w historji Saksonji zaszczytny tytuł „Kolumny modlitewnej Saksonji". Dla upamiętnienia owej wzniosłej uroczystości, historyk niemiecki Paweł Haake, na podstawie bardzo gruntownych poszukiwań w archiwach, studjowaniu listów, napisał na 200 stronicach monografję Krystyny Eberhardyny, pod tytułem „Tragedja małżeńska, Krystyna Eberhardyna i August Mocny".



August Mocny, król Polski

Przez trzydzieści lat cierpiała Krystyna Eberhardyna nie dlatego, że małżonek zdradzał ją niemal od pierwszej chwili na każdym kroku, nie dlatego, że nie szczędziły jej afrontów, przy każdej sposobności, faworyty królewskie, ten dopust Pański można było znieść, zresztą z tem może liczyła się zgóry praktyczna Hohenzollernówna wychodząc za osławionego syna Kurfürsta saskiego, ale cierpienia jej stały się nie do zniesienia, gdy małżonek dla uzyskania korony polskiej przeszedł na łono kościoła katolickiego, a potem w wierze katolickiej wychowywano jej syna, jedynaka. Znienawidziła wobec tego Polskę, przyczynę tego nieszczęścia.

Nawet na koronację do Krakowa nie chciała przyjechać, choć August wzywał ją kilkakrotnie, a rodzice namawiali, by poddała się woli męża. W tym wypadku nie ustąpiła Krystyna Eberhardyna, no, i obeszło się: August II koronuje się sam nader uroczyście w Krakowie 15 września 1797 r. Zastępczyń chętnych na miejsce królowej nie brakło, a stała jej nieobecność otwierała im pole do działania. Nie myślał jednak August II o rozwodzie, jak obawiali się rodzice Krystyny Eberhardyny; przeciwnie, małżonka, która nie miała żadnych pretensyj, sama usunęła się w zacisze saksońskiego zamku Pretsch, zostawiając wolne miejsce dla licznych, zmieniających się często faworyt królewskich, była mu nawet całkiem wygodna.

Często opozycja protestancka w kraju próbowała nawet przy pomocy intryganckiego Fryderyka pruskiego wyzyskać entuzjazm religijny królewskiej małżonki przeciw królowi polskiemu. Napróżno, ciężka przyziemna Niemkini nie chciała zupełnie bronić swych praw; niezdolną była do żadnego czynu, umiała tylko żalić się i modlić. Tak mijały jej lata w samotności. Kilkakrotnie zjawiała się podczas pobytu małżonka w Dreznie, reprezentowała, jak jej zlecono, przyjmowała protestanckiego Karola XII, zwycięzcę swego męża, uważając tę klęskę za zasłużoną karę Boską.

Oddana praktykom religijnym i rozpamiętywaniom, pozwoliła sobie wydrzeć rządy duszą syna, jedynaka, Augusta III. Doczekała się też jego przejścia na katolicyzm, małżeństwa z Habsburżanką i znowu podczas przewspaniałych uroczystości weselnych w Dreznie snuje się po salach nieszczęsna królowa, wyrażając swój ból jedynie smutnym wyrazem twarzy, pocieszając się myślą, że kiedyś syn jej, a może i małżonek przejrzą w swym szale i wrócą do prawdziwej wiary. Gromadziła dookoła siebie młodzież protestancką w Pretsch, umacniała ją w wierze, pocieszała się śpiewając pieśni nabożne. A nie wiodło się w domu Wettynów. Dzieci jej syna nie chowały się, marły jedno po drugiem. Z pokorą znosiła te nieszczęścia, a gdy syn jej, który po matce odziedziczył ciasną umysłowość, pełen bigoterji prześladować począł wyznawców kościoła luterańskiego, wystąpiła przeciw niemu, pisząc jako groźne memento ulotkę p. t. „Rachel płacząca". Modłami ustawicznemi odkupić pragnęła przewinienia swych bliskich. A ponieważ przewinień tych było dużo, zwłaszcza ze strony męża, modliła się przez całe życie, aż wreszcie i życia nie starczyło.

Krystyna Eberhardyna umarła w Pretsch przed dwustu laty, w otoczeniu tylko swych sług wiernych. Małżonek wyprawił jej pogrzeb wspaniały, jednakowoż ważne wypadki polityczne w Warszawie przeszkodziły mu w oddaniu ostatniej posługi wiernej żonie, zresztą barokowa natura Augusta Sasa nie lubowała się w tego rodzaju uroczystościach. Spełnił swój obowiązek, wybijając medal sławiący jej cnotę z napisem: „Quot folia, tot corda lugent". Ile liści, tyle serc się smuci. A jako, że monarcha nie chadza w tłumie, więc nie smuciło się serce Augusta, a w każdym razie niedługo, gdyż w pięć miesięcy później wrzał niezwykle świetny karnawał w Warszawie i Dreznie. Swaty przeróżnych dworów starały się pozyskać króla, a piękne niewiasty prześcigały się w pocieszaniu owdowiałego. Na pomniku Krystyny Eberhardyny wykuto napis: „Królowa wszystkich cnotliwych niewiast, najcnotliwsza kobieta między królowemi". To była jedyna zapłata za jej długie, smutne i nieciekawe życie.

Nie zajęła Krystyna Eberhardyna karty w historji powszechnej, nie była kobietą wielkiego ducha lub wiedzy, przyszła na świat o dwieście lat zapóźno. Być może, że to było jej szczęściem, gdyż stwarzając sobie urojoną tragedję, znajdując upodobanie w swem wyimaginowanem męczeństwie za wiarę i przekonania, przeszła mimo swej prawdziwej tragedji, nie zdawała sobie sprawy ze swej nikłej roli, którą odegrała przy boku małżonka, którego ciasnotą umysłu swego, dogmatyczną naturą musiała przytłaczać i odstraszać. — Na Polsce, którą uważała za jedną z głównych przyczyn swego zmarnowanego żywota zemściła się wbrew swej woli w sposób dotkliwy rządami swego jedynaka, który odziedziczywszy po matce inercję i brak inicjatywy, zaciążył tak fatalnie na dziejach Rzeczypospolitej.



Krystyna Eberhardyna, żona Augusta Mocnego

DR Z. KRZEMICKA

PLOTKI O RICIE REY

ROZMAWIAŁAM z Ritą Rey całe dwie godziny. Rozmawiałam nie po raz pierwszy, ale tym razem chciałam zrobić wywiad. Stało się jednak tak — że wywiad się nie udał. Nie z mojej winy. Z winy Rity Rey.

Ułożyłam w myśli mądrze i przebiegle szereg pytań, przyszłam z tym zapasem — ukrytym jak z pudrem w torebce — i odechciało mi się pytać. Ogarnął mnie jej „charme" zaraz, z miejsca, już przy powitaniu — tak, jak temperatura pokoju, jak dyskretna perfuma. Och! nie było to nic narzucającego się! Poprostu wrażenie osobowości pełnej wykwintu, taktu i kultury. Więc zapadłam w fotel, westchnąwszy błogo: — jestem w Europie — i nie chciało mi się wstać, ani odejść, ani pytać. Wina Rity Rey jest oczywista.

Zresztą pytać! Może: co pani przywiozła z pobytu w Anglji? A z Hiszpanji? Pani mieszkała tak długo w Hiszpanji! A co pani sądzi o Włochach? Jakie jest pani zdanie o Ameryce? Tam spędziła pani lata wojny, prawda? Czy pani już zostanie stale w Polsce, czy nadal w Paryżu? I t. d. — i t. d. Niestety!

Więc tylko plotki o Ricie Rey. Kto to jest — wiedzą wszyscy. Któż nie czytał jej świetnych feljetonów w dziennikach naszych, francuskich i amerykańskich. No i oczywiście w Il. Kurjerze Codziennym. Przecież często kupuje się Kurjer właśnie tylko dla feljetonu Rity Rey. I często wtedy człowiek jest zły. Bo pokazało się, że napisała o tem, o czem właściwie wszyscy wiedzą. Napisała stylem lekkim, opowiedziała anegdotę i jakiś smaczny dowcip, no i zdawałoby się, że to tylko taka zręczna sztuka dziennikarska. Tymczasem okazuje się, że od tytułu aż do kropki końcowej jest w tem jedna wytyczna, że z całą logiką, stanowczością i zuchwałością niekiedy, jest scharakteryzowany jakiś objaw społeczny, zdemaskowane jakieś ogólnie przyjęte kłamstwo, przenicowany na lewą stronę jakiś konwenans, wdzięczący się dotychczas jedną, lepszą i uznaną stroną. Więc potem, jedni piszą do Rity Rey listy pełne uwielbienia, drudzy pełne oburzenia, a jeszcze inni irytują się pocichu: przecież myśmy o tem już wiedzieli. Tak, ale dopiero wtedy, gdy Rita Rey o tem napisała.

Tymczasem Rita Rey zapala nowego papierosa i kieruje swoje bystre oczy na inny punkt obserwacji.

Powiedziała mi Rita Rey, że ma jedną namiętność. Namiętność widzenia. Dlatego podróżuje. Rzeczywiście, ma oczy nietylko patrzące, ale widzące. I w jej pracach jest zawsze taki zdecydowany punkt widzenia.

Rita Rey lubi Anglję. Tak mi powiedziała. Spędziła tam chwile najmilsze pod względem towarzyskim. Wierzę. Ma ów zbawienny, chłodny trochę dystans, nabyty może właśnie tam, w Anglji, gdzie „I" (ja) pisze się zawsze dużą literą.

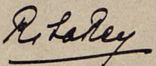
Powiedziała mi także Rita Rey, że bardzo dobrze zna Hiszpanję i że obecnie, pod niektóremi względami, Polska przypomina Hiszpanję przedrewolucyjną. A mówiłyśmy przedtem o nowym kodeksie małżeńskim i o rozwodach.

I jeszcze powiedziała mi, że w kraju przebywa obecnie dla interesów, ale powraca tu wogóle zawsze z sentymentu. A we Lwowie, w cichym Lwowie, pracuje się jej bardzo dobrze. W Paryżu prowadzi życie zanadto ożywione, aby mogła intensywnie pracować. Być może. Ale ja sądzę, że tam właśnie, w tem ożywionem życiu zbiera materjał porównawczy, aby potem mogła pisać o tem — jak jest u nas.

O Ricie Rey możnaby powiedzieć, że jest elegancką kobietą, gdyby to nie było zamało. Jest raczej wytworna i to tak bez wyraźnego przygotowania. Tak jakby z urodzenia tkwiła już w swoich pięknych sukniach i umiała estetycznie a pewnie poruszać się. Ostatecznie, taka wiadomość może być obojętna, jeżeli mówimy o pisarce. A jednak Rita Rey i jej felietony, to nierozłączona całość. Wszystkie jej uwagi i krytyki wypływają z mądrego, odważnego spojrzenia na świat kobiety samodzielnej w najlepszem tego słowa znaczeniu, i nacechowane są tym samym dobrym smakiem i umiarem, jak jej strój i sposób bycia.



Fot. „Flora", [illegible]



Przytem wydaje mi się, że mimo jej pozornego chłodu, możnaby jej wyznać śmiało jakiś solidny grzech lub strapienie — ale nie radziłabym opowiadać jej o jakiemś ukrytem świństewku, albo pokazać się w kapeluszu ze strusiem piórem przy angielskiem palcie.

Ale i o tem mało kto wie, że największem umiłowaniem Rity Rey jest — muzyka. Poważnym studjom muzycznym poświęciła sporo czasu w swem życiu, specjalnie zaś grze na fortepianie, w której doprowadziła do wirtuozostwa. Gdy mówimy o muzyce, oświadcza mi niespodzianie, że ma w tym kierunku znacznie więcej talentu niż do pisania...

Cóż jeszcze? Rita Rey ma piękne nogi. I jeszcze piękniejsze ręce!

A wszystko razem, co tu nieporządnie opowiedziałam, są to tylko plotki, które tem się różnią od zwyczajnych plotek, że procentowo zawierają większą część prawdy, a reszty dopełnia osobiste wrażenie —

Janiny Osińskiej

GŁOSY W POWIETRZU

Zygmuntowi Lityńskiemu

„NIECH MI Kochany Pan Speaker przebaczy... Mam do Niego wielką prośbę... Jestem mała, ale już bardzo biedna. Nie wiem co to takiego, że muszę leżeć w łóżku od dwóch lat, gdy inne dziewczynki w moim wieku chodzą do szkoły, biegają i bawią się. Nikt mi nawet nie umie powiedzieć, kiedy wstanę. Mamusia wczoraj obiecała, że za miesiąc; ale pewno dlatego, że bardzo śpieszyła się na bal. Katarzyna śmiała się z jej słów: „może za tydzień panienka wstanie, pewno za tydzień". Cały wieczór to powtarzała. Widzi Pan, że nic niewiadomo.

Wolałabym nawet, żeby mi była dała spokój, nie mogłam przez jej gadulstwo Pana słuchać. Radjo to jedyna moja przyjemność. Wszystko gdzieś jest bardzo daleko, a kiedy Pan każe, przychodzi do mnie i orkiestra i śpiew i polityka, której nie rozumiem i nudna giełda i różne śliczne bajki. Co Pan tylko zechce!

Strasznie smutno, kiedy Pan mówi: „dobranoc".

Najwięcej jednak smutno, że Pan razem, do wszystkich to mówi. Wiem, że i do mnie też, ale Pan o tem nie wie, że do mnie mówi. Takbym chciała, żeby choć raz, raz jeden — dobranoc — było tylko dla mnie! Dobry Panie, proszę bardzo, niech Pan mi da jakiś znak, że otrzymał ten list i o mnie myśli. Jestem chora i mała i biedna, bardzo się ucieszę."

Nelly.

Nazajutrz słuchacze londyńskiego radja zdumieni byli, że dobrze wychowany speaker wieczoru tego był niegrzeczny. Zamiast sakramentalnych słów ogólnego pożegnania: „Good night ladies, good night gentelmans, good night every body", powiedział tylko „Dobranoc".

CASUS BELLI

Zjedli obiad i przeszli do fumuaru. Usiedli w klubowych fotelach, powoli paląc fajki. Po dniu spędzonym na giełdzie, wieczorna godzina usposabia do spokojnego słuchania spokojnej muzyki.

— Dobry wczoraj był koncert.

— Yes.

— Dobry pewno dziś będzie koncert.

— Yes.

Muzyczka z opery Rose-Marie, a potem No, No, Nonette. Jakby się było w sercu Paryża, na rue Mogador.

Obrócili się na drugi boczek, strzepnęli popiół z cygar do popielniczek wygodnie przytwierdzonych u ramienia fotela.

Nagle aparat zadrgał. Czuć w nim walkę. Przez melodyjkę przedzierają się słowa, słowa nie operetkowe.

— Co to jest?

„Nasz sztandar buja ponad trony"...

— Co to jest?

— Na angielską falę wdarła się fala silniejszej stacji sowieckiej. Przełamany nasz front. Trzeba, żeby minister Spraw Zagranicznych poddał to rozwadze Ligi Narodów. Dotąd to nie było casus belli, ale może nim być...

— Nie, należy na tę walkę odpowiedzieć — orężnie: zbudowaniem jeszcze silniejszej stacji.

— Na to dziś Anglja nie ma pieniędzy. Oni spędzają robotnicze brygady...

— Złożone z inteligencji...

— Wszystko jedno, czynić to mogą. A my? Czy możemy zmusić robotnika...

— Nie. I nie możemy mu zabronić, żeby słyszał jak ustrój komunistyczny triumfuje nad ustrojem imperjalistycznym...

KRZYK APTEKARZA

Aptekarz nie patrzy na człowieka, który podaje mu receptę, tylko patrzy na receptę, którą mu podaje człowiek. Mrs Bull wziął z czyichś rąk — tyle dojrzał, że męskie były — biały, zapisany papierek i powiedział o której można zgłosić się po odbiór kropel od kaszlu. W oznaczonym czasie ktoś pokazał numerek i wyciągnął prawą dłoń po lekarstwo. Widocznie był niezgrabny, bo jednocześnie laska wypadła mu z drugiej. Stuk tak nieodpowiedni do cichej apteki zastanowił cichego aptekarza, iż odwrócił głowę i pozwolił ręce — samej — wziąć flaszeczkę. Ręka — machinalnie — zboczyła o kilka milimetrów, podała środek inny, nie ten, który trzeba zażyć aby kaszel ustąpił. Farmaceuta przykleił wiadomość, iż należy brać co godzina po stołowej łyżce, zaczynając od godziny 9-tej wieczór... Pomyłkę swą zobaczył gdy, nietylko ten ktoś podniósł laskę, zamknął znów ze stukiem — co za gwałtowny charakter! — drzwi, aż szyby zadźwięczały, ale gdy przyszła kolej na wydanie lekarstwa do zewnętrznego użytku, chloroformu dla uśmierzenia silnych ataków newralgji. Trucizny pomieszanej z inną jeszcze trucizną...

Cichy aptekarz stał się, jak jego poprzedni klient gwałtowny. Klient podał adres hotelu, mówił, że śpieszy się na dworzec, że mieszka na prowincji... Teraz dopiero siłą pamięci słowa jego przed godziną rozlegające się w aptece, rozległy się w uszach aptekarza. Wszystko się ujawniło! Niewiadomo nawet czy ten adres hotelowy był istotny. Cóż dziwnego, osoba rzucająca laskę na podłogę cichej apteki... Dość powiedzieć!...

Jak ogłosić, żeby dzieciom swoim, ani nawet wnukom swoim nie kazał brać tego płynu? Aptekarz szalał, już biegł na policję, już telegrafował, telefonował. Niewiadomo gdzie i do kogo...

A wieczór szedł swoją, coraz ciemniejszą drogą... Zbliżała się 9-ta godzina.

— Wiem!

Znalazł! Aptekarz w głowie swej znalazł myśl zbawczą!

Kazał pomocnikowi dobrze apteki pilnować, ostrożnie! szczególnie ostrożnie środki od kaszlu wydawać! Chwycił kapelusz, wyleciał nie bacząc, iż na cichej uliczce popłoch stać się może na widok cichego aptekarza w nieswoim wychodzącego czasie.

— — — — — — — — — — — — — —

— Hallo, Hallo, tu stacja radjo-Londyn...

— Uprasza się pana, który w dzielnicy 8-mej, na Margareth Street, u aptekarza Bulla nabył lekarstwo przeciw kaszlowi, aby lekarstwa tego pod żadnym pozorem nie brał, ale nawet nie próbował. Albowiem zaszła pomyłka, zamiast hipekakuany dostał truciznę...

W pewnem miasteczku, w pewnym smutnym domu, przy łóżku gdzie leżała chora, rozległy się śmiechy tak wesołe, jakby wszystkie i na zawsze choroby ze świata zostały wygnane.

Nazajutrz Margareth Street bardziej się jeszcze aniżeli poprzedniego dnia zdziwiła, gdyż mister Bull znów o niesamowitej godzinie opuścił aptekę. Odtąd codzień o tej porze szedł wychylać kieliszek whisky, jakby pił za czyjeś zdrowie.

AURA WYLEŻYŃSKA

KULTURA TOWARZYSKA

PRZYPUSZCZAM, że niejedna z Czytelniczek przeczytawszy nagłówek pomyśli, jak można dziś, w epoce kryzysu, bezrobocia i tylu poważnych trosk społecznych, zajmować się kwestjami tak niewspółmiernie błahemi.

Albo może tylko pozornie błahemi?

Może, gdy się zastanowimy, w jak wielką część życia ludzkiego wgrywa się wszystko to, co określamy jednem słowem: obyczaje — wszystkie te gesty, słowa i uczynki — wówczas nabierzemy przecież przekonania, że nie wolno nam przechodzić obojętnie obok tej sprawy. Albo traktować ją jako czysto salonową, jako zbiór reguł mniej lub więcej krępujących naszą osobistą wolność, a w gruncie rzeczy nieuzasadnionych lub — śmiesznych.

W uproszczeniu wielu rzeczy i form, do czego zmusiły nas zmienione warunki i tempo życia lat ostatnich, zapomnieliśmy na chwilę o czemś, co jest zdobyczą i cechą wyższej cywilizacji. Zapomnieliśmy o kulturze towarzyskiej.

Doniedawna jeszcze, ażeby utrzymać się w nurcie współczesności, trzeba było gwizdać — mówię w cudzysłowie — na wszystko, co trąciło dobrem wychowaniem. A zatem na uprzejmość dla wszystkich bez różnicy, na takt w obcowaniu z ludźmi, na gładkość form towarzyskich i na pewne normy, w które współżycie kulturalnych ludzi musi być ujęte.

Miejsce ich zajęła bezceremonjalność, w ujemnem znaczeniu, opryskliwość, bezwzględne rozpychanie się łokciami — prawo silniejszego a raczej brutalniejszego. Prześcigano się w szorstkości, w dosadnych wyrażeniach, w gruboskórności, byle tylko nie zasłużyć na miano zacofanych, niedzisiejszych ludzi.

Nazywało się to szczerością, prostotą, zrzuceniem krępujących więzów, przesądów towarzyskich, całego aparatu obłudnej i ceremonjalnej chińszczyzny.

To prawda, że nam, Europejczykom, chińskie obyczaje towarzyskie wydają się więcej niż przesadne, ale czyż tego rodzaju krańcowość nie jest łatwiejsza do zniesienia, niż brak obycia i gburowate manjery?

Zresztą, wybaczymy je Chińczykom, gdy uwzględnimy podłoże, na jakiem się ukształtowały.

Konfucjusz, pragnąc stępić wrodzone ostrze złośliwości i nieokrzesania swoich współziomków, ujął zasady współżycia z ludźmi — a nawet obcowania na terenie rodzinnym — w religijne przykazania, które każdy Chińczyk obowiązkowo znać musiał. Były bowiem cząstką jego religji. Przez wieki kształcił się więc na nich cały naród, aż wreszcie przyswoił sobie łagodne formy obcowania — pełne jakiejś przerafinowanej uprzejmości — do tego stopnia, że stały się jakby jego drugą naturą. Widoczny tu jest uszlachetniający wpływ propagandy poprawnych obyczajów na ukształtowanie się psychiki całego narodu.

Bo jakkolwiek nauka współżycia z ludźmi, której pierwszem przykazaniem jest życzliwość dla bliźnich bez różnicy stanów, nie zastąpi zasad etyki to w każdym razie jest ona jednym ze szczebli prowadzących do zrozumienia etyki.

Ale w obawie, by mnie nikt nie posądził o rozmiłowanie się w chińskim ceremonjale, i o nawoływanie do niego, wracam po tej krótkiej dygresji do Europy. Do nas.

To, co dawniej nazywano „dobrym tonem" zniknęło ze słownika współczesnego.

Łączyło się z tem dużo rzeczy nakazanych lub zakazanych, i tyle — w dzisiejszem oświetleniu — opatrznych pojęć o tem, czego nie wolno, tyle sztywności, zimnej rezerwy, że odsunęliśmy się jednomyślnie od całego tego balastu. I już nawet zabawnem nam się teraz wydaje, że były pokolenia, które niewolniczo trzymały się skamieniałych formułek towarzyskich, bez próby sprawdzenia ich wartości. I to pokolenia nie tak bardzo zamierzchłe, bo jedno lub dwa conajwyżej wstecz.

Pamiętam, raz na jakiemś letnisku, w okresie beznadziejnie zadeszczonych dni, gdy już wszyscy powypożyczaliśmy sobie nawzajem, co kto miał z nowości literackich, zaczęliśmy z rozpaczy wertować skromniutką tubylczą bibljoteczkę. Wprawdzie bez dobrej nadziei, ale chociażby dla zajęcia się czemkolwiek, chociażby dla wymieniania autorów. Gdy padło nazwisko Sarneckiego, autora dobrego tonu z przed kilkudziesięciu lat, ktoś, jakby w natchnieniu, powiedział: to może być coś dla nas. I było. Szaleliśmy z uciechy nietylko w ten jeden wieczór deszczowy, ale i reszta pobytu upłynęła nam pod znakiem rozkosznych, poprostu, a czasem wzruszających wskazówek Sarneckiego, który np. w dbałości o dobrą reputację kobiety, zabrania osobie niezamężnej przyjmowania mężczyzn, chociażby już przekroczyła sześćdziesiątą wiosnę...

Roi się w tej książce od podobnych rad, które z istotną kulturą towarzyską nie miały chyba nic wspólnego, a były raczej tępą tresurą myśli i gestów. Obecnie są też dla nas źródłem humoru i niewinnej rozrywki. A czasem, dla odmiany, współczujemy z naszemi prababkami — bo pradziadowie umieli sobie zawsze radzić — na myśl, jak płytkiem korytem płynęło ich życie. Ile przymusu i nieszczerości wymagało, jakie było uciążliwe.

Obecne pokolenie, po okresie różnych odchyleń — o których wspomniałam — i po odrzuceniu wszelkich nieaktualnych obciążeń, usiłuje nadać obyczajom towarzyskim nowe, uproszczone formy, idące w kierunku wnikliwego zestawienia tych wszystkich drobnych, napozór, szczegółów, które składają się na szlachetne obyczaje. Dążenia te są słuszne, o ile nie przekroczą pewnych granic.

Pierwszym mądrym wyłomem z dawnej martwoty form, jest zarzucenie skamieniałych reguł, a wzamian za to indywidualne naginanie już zreformowanych, do poszczególnych zdarzeń i okoliczności, do środowiska i poziomu ludzi, z którymi los nas zetknie.

Prawdziwie dobrze wychowani ludzie nie przykładają zbytniej wagi do przepisanych reguł, nie stawiają ich ponad wszystko, lecz wiedzeni taktem i uprzejmością wybierają zawsze właściwą drogę. Wiedzą, że dorośli do każdej sytuacji, że nic ich nie wprawi w zakłopotanie, że zawsze i wszędzie znajdą się tak, jak trzeba. — I właśnie świadomość tego daje im naturalną pewność siebie, spokojne, zrównoważone wystąpienie.

Ale takich ludzi spotykamy rzadko — częściej za to wytresowanych w przestrzeganiu pewnych suchych formułek zewnętrznych. A to wielka różnica. I ci będą stale błądzili w niepewnościach, gdyż umiejętność obcowania z ludźmi nie jest czemś, co napamięć wykuć można, lub na każdą okoliczność dokładnie określić. Będą się więc nieswojo czuli w obecności dobrze wychowanych ludzi, którzy w towarzystwie nie o sobie myślą, lecz o drugich i dlatego trafiają do nich. Najnieszczęśliwsi w życiu są ci ludzie, którzy tylko o tem myślą, jakie wrażenie robią na drugich i żyją w przekonaniu, że nikt nie ma niczego lepszego do roboty — jak zajmowanie się nimi. Kajdany nieśmiałości i ustawicznej niepewności, do której nie przyznaliby się za nic na świecie, ciążą im wprawdzie srodze, ale zrzucić ich nie umieją. Robią bowiem wszystko w imię tego: co na to ludzie powiedzą, a ta niefortunna postawa duchowa paraliżuje wszelkie ich indywidualne odruchy. Niezdolni są również do prostoty, do szczerego wyznania, że czegoś nie wiedzą, nie umieją, o czemś nie słyszeli, w przypuszczeniu, że ich to obniży, zdeklasuje. A właśnie ce-

chą ludzi prawdziwie dobrze wychowanych jest zupełna szczerość pod tym względem.

Prostota w postępowaniu jest niczem niezastąpiona — lecz jakże trudno wytłumaczyć to ludziom nieobytym i opierającym się jedynie o zewnętrzne oznaki. Wszak wierzą, że na każdą okoliczność są gotowe formułki — których niewolniczo trzymać się trzeba — jedne i te same dla wszystkich i na wszystkie kraje.

Otóż nie! Formułki i ceremonje etykiety są prawie w każdym kraju odmienne, jak odmienne są właściwości rasy lub klimatu — ale nie istnieją szlachetne obyczaje przeznaczone wyłącznie dla jednego narodu lub jednego środowiska. Przeciwnie, są własnością rasy ludzkiej wogóle, oraz wypowiednikiem kultury serca.

I wszędzie, na całym świecie, wbrew odmiennym lokalnym zwyczajom, ludzie dobrze wychowani poznają się nawzajem wlot po jakichś nieuchwytnych, ale niezawodnych oznakach, po prawach, niespisanych wprawdzie nigdzie, ale jednomyślnie nimi rządzących. A właśnie owe niespisane — są najważniejsze. Te, których nie znajdziemy na ponumerowanych stronicach podręczników pod jasno określonemi nagłówkami, idą bowiem śladem wiecznie płynnych, nieustannie zmieniających się form życia i nakazów chwili lub uczuć, a rządzone są intuicją, taktem i wrażliwością serca.

To też niemożliwem jest ustanowić raz na zawsze jakieś niewzruszone zasady postępowania, odgraniczyć to, czego nie wolno, od tego co wolno.

A jednak zdobycie tych wszystkich subtelnych wiadomości, które się składają na kulturę towarzyską — i właściwe orjentowanie się w nich — jest nauką życia. A głośna pogarda, z jaką afiszują się wobec nich rozmaite jednostki, wypływa nie ze szczerości, ale poprostu z nieznajomości, lub niemożności opanowania tej dziedziny, a może — z tęsknoty do niej. Czasem z niechęci do tych, którzy się w niej swojsko czują.

Nie mamy czasu na te ceregiele — tak mówią.

Jakto — czyżby go więcej wymagała uprzejmość, aniżeli szorstkość — dobre i życzliwe słowa, aniżeli opryskliwe? Nie sądzę.

A dowodów tęsknoty ludzi nieobytych — do oglady towarzyskiej — mamy dużo. Np. wszyscy ci, których dzieciństwo upłynęło w zaniedbaniu, gdy zostaną rzuceni zrządzeniem losu w inne koła towarzyskie, czują, że nie dorastają w czemś do tego obcego im środowiska — że im brak czegoś, i z zazdrością obserwują swobodę tamtych. Po zrównaniu się z nimi w rzeczach zewnętrznych, t. zn. z zewnętrzną stopą życia, przychodzi kolej na kulturę towarzyską.

W okresie, w którym prowadziłam w jednem z czasopism stały dział poświęcony tym sprawom, dostawałam sporo listów z zapytaniami. Zwłaszcza dwa listy wzruszyły mnie szczególniej. W jednym z nich pyta mężczyzna — jak można w najkrótszym czasie zostać gentlemanem — i maluje udręczenia z powodu nieznajomości wielu spraw związanych z reprezentowaniem swego stanowiska. Drugi zaś zaczyna się od słów: jestem noworyszką, jak mnie w sąsiedztwie nazywają. Potem następuje opis rozmaitych przykrości towarzyskich, na które w podręcznikach rady znaleść nie można, a wkońcu pytanie: jak zdobyć potrzebne wiadomości?

Z tych listów i z obserwacyj życiowych wywnioskowałam, że potrzeba kultury towarzyskiej w gruncie rzeczy istnieje; że dzisiejsze lekceważenie jest tylko pozorne, a tem samem przejściowe. Wskrzeszenie tej kultury zależy przedewszystkiem od kobiet. W ich ręku tkwi władza, mogąca zmienić obecną barbarję w szlachetne i wytworne obyczaje. Ponieważ ta przemiana miałaby nietylko towarzyskie, lecz również etyczne i społeczne znaczenie — dlatego kończę gorącą zachętą do jak najszybszej akcji w tym kierunku.

KONSTANCJA HOJNACKA

BEATA OBERTYŃSKA

DZIWY

„Pies wyje w biały dzień, Walenty wie?!"
„To źle.."

„A jak bzu się dzikiego krzak o studnię oprze?"
„To też niedobrze.."

„A jak lulek na cmentarzu kwitnie gęsto tak?"
„To znak.."

„Drzwi się same otwarły bez wiatru na dworze?"
„Najgorzej.."

„Oknem strychu nietoperz na słońce wylata.."
„Koniec świata.."

„W kominie znaleziono suchy zewłok sowi..
„Co to wszystko znaczy, niech Walenty powie?!"

„A no, nic to innego —" coś tak widzi mu się —
„tylko śmierć się gniazdowi w starym lamusie.."

SNY

Sny pocięte, poprute, pozszywane,
sny głupie bez nóg i bez głowy!
sny bez treści, sensu ni osnowy
jak taki dywanik na ścianę,
co to rozpaczą pociętych deseni
dawno umarłych, zapomnianych sukien,
szwaczce nad łóżkiem mrowi się i mieni..

Barw kłębowisko! Dywanie jaskrawy
wpełzły nocą na ścianę, a ginący ranem!
Sensie bez śladu sensu, wklęty w skrawki włókien,
w resztki, zżynki, odpadki nieobecnej jawy!
Nim was dzień z pod warsztatu na śmietnik wymiecie,
plączcie się pstre i głupie, plećcie co pleciecie
sny pocięte — poprute — pozszywane..

2)

Są liljowe — szpaler liljowych, świetlistych kwiatów. Koszmar: obca, okropna, żółtawa twarz mężczyzny ociekająca krwią! Para złotych oczu. — Nagle, z niepojętą szybkością cofają się w głąb. Czezną... Chaos skotłowanych obrazów, jak uwertura czegoś... Powoli cichnie. Cisza. Pustka. Ulga!... Jestem sam — nademną, jak w śnie Adama, podnosi się z uśpionej ziemi, rośnie, wystrzela jasnym płomieniem postać kobiety. Naga. Końce drobnych piersi drżą w powietrzu — kwiaty, oczekujące na cud świtu. Niewysłowione pragnienie ugina moje kolana. Opasuję ramionami jej biodra. Oczyma szukam jej twarzy. Jej twarz... jej twarz?! Spowija ją mgla. Coś niepokojącego w tem trwaniu rudego, nieustępliwego kwefu mgły! Nagle, niepokój wybucha przerażeniem. To śmiertelna — zatruta mgla!!! Ratunku — Ratunku —

Budzę się. Cóż za koszmar!

Trzęsącą się dłonią naciskam guzik nocnej lampy. Co za sen! Długo nie mogę zasnąć. Prześladuje mnie ta wizja kobiety, którą pochłania śmiertelna mgła — Dopiero łyk bromu...

Dzień ósmy.

Tej nocy umarł na statku mały chłopak. Diarrhea. Ciało, zabalsamowane, poplynie z nami, aż do Rio.

By wejść na dach sterówki (za specjalną protekcją doktora mogę grzać się tam na słońcu razem z marynarzami) trzeba minąć „salę operacyjną". Otwarta naoścież. Ten obraz, brutalny, godny demonicznego pendzla Goy'i! Doktor, w białym kitlu, olbrzymiogłowy, łysy, zgarbiony nad stołem, obitym blachą koloru cyny. Jak odlew z wosku — sztywny, nagi trup dziecka. Rozstawione nóżki... Niżej, na linoleum podłogi, dwie szklane, wielkie butle: płyn żółty i płyn biały. Srebrny, zimny błysk metalowej strzykawki. Niewyrozumowany strach (czy wstyd?) nie pozwala mi zbliżyć się. Balsamowanie zwłok. Śmierć — to naturalna potworność. Śmierć dziecka — to absurd!

Po południu rough — sea do potęgi burzy. Chaos. Z granic nabrzmiewającego horyzontu, koncentrycznie, nadbiegają obłe pagóry fal. Spiętrzają się rycząc, bluzgają ulewą piany i w momencie najwyższego spięcia, zapadają z powrotem we wrący chaos. Słońce, zatopione w bladawym oparze, oświetla ten ponury spektakl martwym jak światło magnezji i zarazem jaskrawym „glare".

Po co to wszystko? Defilada upiornej, rozkiełznanej siły, tworzenie form widzialnej materji — w kształcie fali, w uśmiechu dziecka i — ścieranie w pył, w nicość... Szyderczy twór obłąkanego genjusza?

Popołudniu, koło czwartej, pierwszy raz w tej podróży, przychwycił mnie ten ból — Nie łudźmy się! Ośmiornica czuwa. Wysuwa głodne macki — szuka królewskiego kąska, żywego serca. Wziąłem dawkę morfiny. Ból przeszedł nagle, jak krótkotrwały szkwał. Jeszcze jedna drobna awarja więcej, Ulissesie! Lecz statek musi płynąć — do końca... Vogue la galere! Ha ha — Okrzyk ten będzie coraz słabszy, słabszy —

Ach — dość! Szatan zwątpienia wodzi dziś moją ręką. Przekreślam to.

Dziś do mojego stolika przysiadł się doktor. Razem zjedliśmy obiad, zakropiony butelką świetnego Xeres. Zapalając papierosa, spytałem go o tę moją pseudosąsiadkę z Deck A, Eveline Joy. Dlaczego do licha nie pokazuje się, kiedy już...

— Ta lady jest chora. W Lizbonie czuła się szczyptę („a bit") lepiej. Wyszła na pokład, podobno sama wybrała sobie miejsce na leżak. Ach tak? Właśnie koło pana? Tak — Miss...

Zaciągnął się moim Maryland jaune. Zerknął na etykietę, potem na mnie, trochę podejrzliwie. Zakaszlał.

— Raczej mocne, sir! — Odchrząknął. Strząsnął popiół.

— Ehm — Ale teraz — ciągnął, patrząc nad moją głowę w iluminator, zmywany w zieloną falę — znów to osłabienie... Ale niech pana to nie przejmuje, młodzieńcze —

Zdjął wypukłe okulary i począł je trzeć, zapamiętale: Hm, casus jakich wiele. Niektóre, dbałe o prestige urody, nie wychodzą z kabin, aż do samego Rio. A Miss Eveline Joy — jest aktorką, tragiczną aktorką! No, nie wie pan nawet tego, young man?

W cynicznie frywolnym głosie Townsenda był jakiś fałsz. Zmieniłem temat.

Tak, teraz wiem, dlaczego to nazwisko nie było mi nigdy zupełnie obce. Eveline Joy... W Times'ie, tak! Rubryka teatralna. Zdaje się w „Śnie nocy letniej"? Nie, nie pamiętam.

Późno w nocy.

Nie mam dziś za grosz ochoty na sen. Wywlokłem z walizy całą stertę map i przewodników. Czas zabrać się do marszruty tej wyprawy, stary włóczęgo! Ogólny plan: w Rio jaki tydzień. Potem na południe. Etap — wodospady Iguassu. Stąd na północ — Matto Grosso. Granicą Boliwji do peruwiańskiej Montanji. Stamtąd łodzią, potem mułami przez Cordillerę, nad Pacyfik. Program, co się zowie „na wyrost"! Starczy na rok. Qui vivra... Zabieram się do tej pracy z gorączkowym zapałem. Mój stock Marylandów topnieje przy tem, raczej spopiela się w oczach. Zdaje się, nazwałem je kiedyś, w tym dzienniku „moją młodością". Co za sentymentalny pomysł! Więc — gdy skończą się, co wtedy, Ulissesie?

Do szatana — bzdury! Do roboty.

Dzień dziewiąty.

Rano wyciągam z futerałów Winchester, kupiony świeżo w Paryżu i jeszcze wojenny, wierny automatyk grubego kalibru. Rozbieram, naoliwiam i to zajmuje mi sporo czasu. Potem na pokład. Masa latających ryb. Podrywają się białemi stadami, jak blaszane zabawki. Śmigają tuż przed dziobem statku i zapadają bez śladu w zielono-szarych wąwozach fal. Niepewny błękit nieba pochłonęła znów porcelanowa bladość. Słońce, omotane w ten szarawy kokon mgieł, jarzyło się gdzieś w głębi — aż zapadło bez sławy w oceanie, przeoranym jak oko sięgnie krótką, złośliwą falą.

Wieczór idę na dziób, do trzeciej klasy. Może zobaczę kogoś z kraju. Nie. Tuzin Francuzów, zresztą samo Południe: hiszpańscy peoni załadowani w Coruna (którą haniebnie przespałem!) i portugalska nędza. Ghetto... Na gołym pokładzie kucają ludzie o skórze czerwonej, żółtej, brunatnej, włosach sztywnych jak druty, kędzierzawych jak wełna. Mdła woń farby, oliwy, kuchni, ostre wyziewy ciał, natrętny zapach antyseptyków — chropawe staccato jazz'ów, zmysłowe wołanie tang, niesione wiatrem gdzieś z góry, z wysokich pokładów pierwszej — hałaśliwy śmiech wielu głosów — gardłowy śpiew Argentyńczyka, przy dźwięku gitary — zdyszane, gorące szepty wśród zwojów lin, wśród kotwicznych łańcuchów — nagie, okrągłe kobiece kolano, świecące w mroku, ciemna, męska, złowroga twarz pochylona ku towarzyszce nocy, szept: „mi alma! mi corazon..."

Podróż — El viaje...

Po kolacji — w czytelni — przeglądam londyński „Tatler". Znajduję w jakimś starym numerze fotografję Eveliny Joy. Delikatna, subtelna, jasnowłosa. Kogo przypomina? Tak... Tę, z obrazu Burne Jones'a, dzieweczkę, u której stóp klęczy król. Pod fotografją: „Świetna artystka opuszcza scenę na zawsze". Cóż to? Hm, może doktor będzie coś wiedział?

Już bardzo późno. Czuję pierwszy spazm senności. Trzeba kończyć.

Dzień był dobry — bez myśli, bez cierpień. Podróż — Wszystko w niej zmienne, płynne... Czegoż jeszcze pragniesz Ulissesie? Dni są jak szklane, okrągłe kule. Po ich gładkiej powierzchni wędrują sennie obrazy, myśli — jak żagle pędzone wiatrem. Gwiazdy nad tobą, jak ptaki uwiklane w sieć masztów i lin —

Czyż nie tego chciałeś, ty — nigdy nie syty włóczęgi?

Dziesiąty dzień na morzu.

Ranek jest cichy, blado-niebieski. Podobny do ust rozchylonych w enigmatycznym uśmiechu. Cisza i burza mieszczą się równie w wahającej się skali wszelkich możliwości. Księżyc, spóźnione widmo, zanurza wyblakłą twarz w pianie obłoków. Mgławo — słonecznie. Morze, gładkie jak płytka laguna, rozjarza się powoli w ten głęboko-ciemny, wilgotny kolor lapis lazuli, który Anglicy nazywają „the aching blue".

Stoję u wejścia do mojej pustelni. Pokład paruje sennie, żółty, jeszcze mokry od morskiej wody. Dwa puste leżaki przeciągają się leniwie, gestem, który jest niemal ludzki. Ten pled na tym drugim?! Jak rąbek białej flagi łopoce na małym wietrze — Kto go tu przyniósł? Chyba deck-stewart? W takim razie, la belle artiste gotowa się wreszcie zrealizować! Tymczasem — jestem sam. Siadam, wyciągam się. Już poczyna razić słońce. Nie wziąłem z kabiny szkieł. Odwracam się bokiem. Tak lepiej — Tuż, o długość wyciągniętej ręki, w mosiężnych ramkach, które nadgryzła zielona śniedź, biała kartka. Machinalnie odczytuję: Eveline... Joy... Uśmiecham się. „Joy" znaczy radość. Eveline? Nic. Jednak dziwnie słodkie i smutne jest to imię —

O jedenastej blask słońca odbitego w morzu jest już nie do zniesienia. Schodzę do kabiny. Chcę popracować trochę nad szczegółami tej mojej „wyprawy nad Pacyfik". Idzie jakoś niesporo... Upał.

Aha — stewardess zabrała z powrotem ten pled! Fizys tak opryskliwa, że bałem się zapytać o cośkolwiek.

Godzina popołudniowej sjesty. Gorąco, senność. W palarni story koloru champagne opuszczone. Stewart w smokingu białym jak śnieg, z błękitnymi wyłogami. Lody, które roznosi na talerzykach kształtu liści, są jak dobroczynny tusz. Spokój, zawieszenie w próżni. Czasem to drżenie, nagłe i groteskowe, ogarnia uśpione podłogi, ściany, meble. W fotelach, na prawo ode mnie, leży milcząc czterech Anglików. Twarze pokryte patyną złotawego półmroku. Nagle jeden zaczyna mówić, głosem monotonnym, bez kadencji. Głos ten musi przykuwać uwagę. Słuchają — milcząc. Dziewczyna z papierosem w ustach przechodzi tuż koło mnie, kołysząc leniwie cudownemi biodrami. Suknia z zielonego jedwabiu, cienka jak muślin, pachnie: trawy skoszone w słońcu, zapach mięty i słodka, delikatna woń perfum Atkinsona. Zuchwałe, ciemne oczy. Usta koloru wiśni mają skomplikowany wyraz drwin i pocałunku. Zmysły... Leniwe, ściśle zmysłowe pożądanie —

Wieczór. Na pokładzie A. Powietrze wilgotne, słone. Poręcze, liny, maszty, mokre jak po deszczu. Niebo jest strzeliście jasne, sklepione wysoko w twardym, połyskliwym granacie.

Nareszcie — odrobina wiatru! Jak rzeka jedwabiu, chłodna i miękka, cieknąca wolno. Brodzę w niej, zanurzam się, owijam się nią. Jestem sam. Złoto-zielony blask sączy się z „marokańskiego salonu". Spływa smugą pyłu na senne, opuszczone fotele z jasnego peddigu. Biało odziany oficer chodzi tam i z powrotem, tam i z powrotem, regularnie — jak białe wahadło. W mrocznym kącie pokładu jasna, niewyraźna plama: mężczyzna i kobieta — zlepieni w jedno, nie widzący, nie słyszący nic. Muszą być niemal nadzy w tych cienkich, tropikalnych tkaninach... (Podświadomy odruch niechęci).

Noc. Ledwo, ledwo słychać głuche pykanie kominów. Szmery wszystkich pokładów chłoną ciężkie, żaglowe płótna. Na rufie las wentylatorów — jak stado białych węży o grubych głowach, stado wyprostowane sztywnie, wsłuchane w hipnotyczny szum wód, maszyn i kominów. Ocean w głębi przesuwa się wolno, potwór o ciemnych, nieokreślonych i groźnych kształtach. Blade mgławice, spektra błyszczące fosforycznie, snują się niezdecydowanie po dalszych planach tych kosmicznych dekoracyj. Jest jakiś powiew wieczności w tem wszystkiem. Burzliwa fantazja Liszta, którą wiatr zrywa z pokładu, łączy te rozbieżne, zwiklane elementy w jedną, wspaniałą dysharmonję: pytania, buntu, rozpaczy i — pierwotnej, arcyludzkiej nadziei...

Pisane w nocy.

Koło dwunastej zszedłem do kabiny. W gorącu, którego nie mogły strawić oba huczące wentylatory, napróżno usiłowałem zasnąć. Dałem wkońcu za wygraną. Wstałem — i w pyjamie, narzuciwszy tylko płaszcz, wróciłem na pokład.

Błędne pełzanie świateł — królestwo cieni. Łódź ratunkowa, jak zmora kołysząca się nad głową. Pod nią leżak. Kładę się, zapalam papierosa. Jeszcze te Marylands jaunes. Zostało tylko sześć paczek, tylko sześć! Tlejący, czerwony ogień zapałki jest jak rozpaczliwy sygnał spadający w otchłań... Ostatnia rakieta rozbitka... Ach! Asocjacje, literatura! Wyobraźnia tylko...

A jednak, w tę gwiaździstą, równikową noc myśli kojarzą się samopas w korowód romantycznych rytmów. Ich muzyka cicha, jak taniec elfów, przygłusza pomrok autoironji —

Morze, głęboko, aksamitnie czarne, złocista topiel gwiazd — Szumi jak wnętrze grającej konchy, przelewa się, jak złoty wąż... Niezmierna płynna melodja — taniec gorącego wiatru — krążenie chłodnej głębi — pieśń prądu i pieśń passatu... Morze — morze — morze — Uchwycić, oddać to akustycznie — nad siły! Nad głową przelatują fale — Ach, rzeczywistość, to zmienny sen! Napróżno... Trujący dym zmęczenia — Fale nad głową zamykają się, pluszcząc. Płynąć! Jeszcze! Raz jeszcze wyrzucić głowę nad fale — widzieć, czuć, słyszeć — raz jeszcze! — — — Koniec. Ciemność. Pionowe, kamienne spadanie — Tchu! Tchu! Gwałtowny spazm serca... I nagle spokój — Trwająca świadomość. Więc — śmierć nie zabija?

Otwieram wolno oczy... Noc — Pokład statku — Wszystko to znałem, kiedyś — Unoszę się na łokciu. To śmiertelne zmęczenie! Głowa opada bezwładnie — Ach! Kto to? Tuż u mojego ramienia... twarz kobiety, odrzucona w tył, jak w śnie — Twarz kiedyś widziana, lecz kiedy? gdzie? Wyciągam dłoń. Coś, jak jedwab, jak nitki jedwabiu: włosy — jasno złote. Twarz tak bezbronna, zmęczona, ufna — Pochylam się. Słyszę, jak serce jej bije — Cień rzęs na policzkach, jak skrzydła motyle — cichy szmer oddechu, nikła woń jaśminu, róż... Zamykam oczy. Kula opalowa rosnąca w piersi — to niewiarygodne uczucie szczęścia, które jest Spokojem! Więc to — stało się, i jest?! Opalowa kula opada, osuwa się wolno, w głąb serca — Miljon lat mija — każda sekunda jest szczęściem, od którego się umiera...

Ach! Ten nagły, śmiertelny wstrząs — — — Lecz Ty? Lecz Ty? Gdzie jesteś? Kim jesteś?!
Zrywam się. To sen! To tylko sen!

Piszę to pod jego przejmującem wrażeniem. Nic, tylko śmieszny sen! A jednak, w nieokreślony sposób, czad jego unosi się, trwa uporczywie nad całą rzeczywistością.

Dzień jedenasty.

Ha, ha! Na rękawie płaszcza, tego, w którym wczorajszej nocy byłem na pokładzie, znalazłem dziś rano włos, zdecydowanie kobiecy. Jasno złoty, jak... Nie, to, co chciałem napisać! Nerwy, przyjacielu — Upał, brak snu — Więc może zastrzyk whisky? Najlepsze lekarstwo.
Przed godziną znalazłem nareszcie doktora. Proszę go na cocktail party revanche, na piątą.
Już pierwsza! Ostatni czas na lunch. Zdejmuję ten nieszczęsny włos i wkładam pomiędzy kartki dziennika. Pochodzenie jego jest z pewnością bardziej niż ziemskie: ten biały pled, który wczoraj rano pojawił się na sąsiednim leżaku... Osobliwe! Martwe włosy budzą we mnie zawsze chorobliwy wstręt. Tymczasem ten...

Jesteśmy w palarni, tuż obok baru, ja i doktor. Przyplątał się ten młody Anglik o twarzy koloru whisky, Allison, ten, który „jedzie gdziekolwiek bądź". Wszyscy tu znają jego historję. „A total wreck". Jest prawie bez przerwy pijany. Miesiąc temu ożenił się. W parę dni po ślubie, wóz wyścigowy, który prowadził, wypadł z wirażu na gościńcu koło Ramsgate. „Wszedł w dekorację", jak mówią Francuzi. Roztrzaskał się dosłownie. On wyszedł cało, ona — zginęła na miejscu.
— Manhattan czy Rainbow?
Gorzko-płomienny, mroźno-słodki trunek rozlewa się po podniebieniu.
Allison wybucha nagle śmiechem. Ryczy poprostu. Z sąsiednich foteli niezadowolony pomruk:
— On jest już zupełnie niemożliwy!
Na mokrym blacie stolika palce chudych dłoni prostują się i znów zginają z rosnącą szybkością. (Zdaje mi się, że usta doktora poruszyły się i zamknęły, dwa razy — jakby szeptał: delirium tremens...). Allison ogląda się wciąż za siebie. Sprawia to wrażenie, że niepokoi go coś, czego my dojrzeć nie możemy. Białka nabiegłe krwią, złotawe źrenice rozszerza zdumienie, które jest prawie grozą. Pochyla ku nam młodą, podłużną głowę, z pasmem siwych włosów przez środek czaszki. Chrapliwy szept:
— Tak — Ona czeka — A ja, ja — dżentelmeni — oh, hang it all! — ja nie mam siły!
Palce zaciskają się w pięść, która rozpaczliwie wali w stół.
Nie można znieść tego spojrzenia, tego głosu bezradnego... Rybie oczy doktora wpiły się w mosiężny guz na środku sufitu. (Fascynacja błyszczących przedmiotów — — — ha, ha!)
Allison wstaje. Na długich nogach odchodzi chwiejąc się, krokiem starca. Myśli uciekają tchórzliwie na błędny, boczny tor: „Miłość, która zabija" — tytuł powieści. Bohater właśnie odszedł, o bohaterce wiemy wyłącznie z opowiadania. Akcja... Ach do licha z tem! Biedny chłopak!
Doktor milczy. Czuję nagłą, irytującą potrzebę mówienia. Pytam, rzucam przez stół, wprost w tę twarz smutnego szatana:
— W „Tatler" widziałem fotografję Eveline Joy. Czy może mi pan powiedzieć, dlaczego Miss Joy ustępuje ze sceny?
Popatrzył na mnie z pod oka.
— Dobrze... Ale — spojrzał na zegarek — po kolacji. Proszę przyjść do mojej kabiny. Powiem panu to i...
Zawahał się. Wstał, nieforemny, prawie kwadratowy w tym białym mundurze ze złotemi epoletami. Szukał czegoś oczyma po sali. Kąciki grubych ust były wygięte w dół. Tak — smutny szatan — to przypadkowe, ale niezłe określenie exterieur Townsenda.

(C. d. n.) STANISŁAW NIEDENTHAL

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

ZBIGNIEW GRABOWSKI: „Ciszy lasu i twojej ciszy". Wydawnictwo Literacko-naukowe, Kraków 1931.
Siłą sugestywną tej książki jest jednorodność napięcia i wyłączność sprawy rozgrywanej, sprawy zamaskowanego pamiętnika autorskiego. Zewnętrznie — kilka miłości, powiązanych asocjacyjnie, odcinków z czyjegoś życia; wewnętrznie — bezosobista monografja kompleksu miłości i życia. Nie jest to wcale powieść. Niema tła, niema akcesorjów, niema prawie osób. Te które są, to — postacie lirycznego wylewu autora, przegrzane i przetopione, zrelatywizowane tysiącem drgnień, wspomnień, metafor.
Kilka kobiet i jeden mężczyzna — oto zewnętrzny świat, wywierający nacisk na duszę Jerzego. Kobiety zróżnicowane psychicznie i fizycznie, fantastyczny ogród miłości, chłonięty bezładnie w gorączce serca, i mężczyzna — jeden, twardy jak kamień, przyjaciel Zych. Zaledwie pokazany a jednak rozrośnięty jak gałęź w duszy Jerzego, który cały jest jego wtórnością. Kobiety bierze od niego i wiedzę i smak życia. Dojrzewa, poprzez ciekawość młodości, donjuanerję, do męskiego rozwiązania problemu małżeństwa. Spotkana o zmierzchu młodości — Iza, kobieta przynosząca ciszę, owocodajną dostałość życia, jest jeszcze po tragicznej śmierci Zycha symbolicznie pełna jego istnością, nie może związać się z Jerzym, ale czujemy nieodzowność tego splotu, który zatraca resztki realizmu, staje się prawdziwą mistyką. Wogóle niesposób tu szukać rzeczywistych warunków środowiska, z powodu wyeliminowania wszystkiego co nie jest miłością. Ludzie jak naelektryzowane jony przechodzą z anody na katodę swych płci, oddychają jedynem skrzelem, centralnym problemem książki.
Formalnie łączy autor epizody w sposób prawie niedostrzegalny, co jest najlepszą miarą spoistości wewnętrznego nurtu, łączy je w sposób nieporównanie prosty, nie potrzebuje krępować się żadną kategorją rzeczywistości, poza tą jedyną — duchowego zrostu. Do najplastyczniejszych należy kompleks Sonji, cudowne święto zmysłów, legitymujące się przed pruderją, swą słoneczną jawnością sprawy.
Jedyne, ale dość ważkie zastrzeżenie wobec bohatera — to fakt, że chemicznie nie zostało w nim nic z kobiet, które przeszły przez jego życie. Dojrzał — to prawda, ale tak jak się dojrzewa pod wpływem doświadczeń, rozrósł się sam, i choć wspomnienia o imionach miłości owiane są łagodną dobroczynną syntezą, to jednak podejście do nowizny życia jest jakby za łatwe i pozbawione perspektywy.
Ramy opowiadania przywodzą na myśl metodę niemieckiego pisarza Finka, choć obejmują treść o nalocie stosunku autora do tematu, co przypomina objektywizm „drugiego rzędu" Tomasza Manna.

MARJAN POPPER

JULJUSZ VERNE: „Hector Serwadac". Nakład Książnicy Atlas. — 40 tom Bibljoteki Iskier, przynosi Vernego podróż wśród gwiazd i planet układu słonecznego, w poprawnym przekładzie Topolińskiego. Młodzież chętnie czyta powieści Vernego, dla fantastycznych i niezwykłych przygód. Ale traf, czy obowiązek, który włoży tę książkę dorosłemu człowiekowi do ręki — będzie równie miły, z tych samych przyczyn, i jeszcze z powodu nieporównanej logiki z jaką najbardziej nieprawdopodobne przygody są przeprowadzone — aż do optymistycznego końca.
Pozatem — jak wszystkie wydawnictwa Książnicy-Atlas, książka jest estetyczna, począwszy od okładki dobrej graficznie a skończywszy na formacie i wyraźnym druku.

Nr. 7 BIBLJOTEKI PEDAGOGICZNO-DYDAKTYCZNEJ wydawnictwa Książnicy-Atlas — Wysoką wartość pedagogiczną podręcznika Marji Weryho-Radziwiłłowiczowej p. t. „Metoda wychowania przedszkolnego" oceniły już zapewne czasopisma fachowe. My ze swej strony polecamy wszystkim matkom, które z jakichkolwiek powodów nie mogą posyłać dzieci do przedszkola a radeby je celowo zająć. Znajdą tam obok teorji wiele praktycznych i łatwych wskazówek. J. O.

KRYZYS URODY

GDZIE SPOJRZEĆ kryzysy, wszystkie dziedziny życia paraliżują kryzysy, zmuszające nas na każdym kroku do coraz to większych ograniczeń naszych wymagań. Ciekawem jest więc stwierdzenie faktu, jak w czasach gdy wszystko zapada się w gruzy: sztuka, bogactwo i luksus — działa ten dziwny i przygniatający stan rzeczy na.. piękność kobiecą.

I piękność jest bowiem tylko wyrazem konjunktury; im więcej mężczyźni zarabiają, tem więcej wydają kobiety, a ponieważ za pieniądze można kupić wszystko — więc w ostatnich latach spotykamy coraz więcej handlarzy.. urodą. Mam tu na myśli salony kosmetyki, owe Instituts de Beauté, które jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać z pod ziemi we wszystkich większych miastach Europy i Ameryki. A może nawet i w Afryce etablowała się jakaś apostołka urody — wiem w każdym razie, że nowojorska murzynka, — która wynalazła wodę wygładzającą afrykańskie kędzierzawe włosy, zarobiła na tym wynalazku miljony. Jedną z jej głównych odbiorczyń i świetną żywą reklamą, była słynna „wedette noire" Josefina Baker w Paryżu.

Ze zdumieniem stwierdzamy, że mimo przymusowej oszczędności, skreślającej wszystkie wydatki luksusowe — salony piękności nie straciły swej wiernej klienteli i nadal mają w dosłownem znaczeniu „pełne ręce" roboty. Powody tego zjawiska są bardzo proste i nie takie powierzchowne, jakby się to na pierwszy rzut oka zdawać mogło. Gdyż piękność nie jest już ani „darem Bożym", ani własnością kilku uprzywilejowanych istot cudnych „jak anioł" — piękność jest dziś ostro wyszlifowaną bronią w ręku kobiety walczącej o byt, o pracę i o stanowisko. Ujmująca i wypielęgnowana twarzyczka ma większe szanse otrzymania posady, niż osoba z twarzą pełną wągrów, nieapetytna rozczochrana główka może łatwo przyczynić się do utraty miejsca, a brzydka brodawka na nosie — może więcej narobić złego, niż się przypuszcza. To też cały arsenał tej broni znajdujemy w przepysznie urządzonych, zacisznych świątyniach piękności, gdzie cudne, pastelowo wymalowane kapłanki wiecznej młodości składają na ołtarzu urody mistyczno-magiczne preparaty, jak wonną muscle-oil, kremy przeciwzmarszczkowe, pudry we wszystkich odcieniach i zapachach i jako ostatnią nowość: garnitur pomadek do ust, składający się z sześciu szminek różnych odcieni, odpowiednich do sukien rozmaitych kolorów i noszących tak kuszące nazwy, jak „Carmencita", „Viola", „Coquette" i t. d. Nowością jest też flakon do perfum zamykany na... kluczyk, aby uchronić kosztowną zawartość jego przed amatorami cudzych pachnideł. — Nie dziw więc, że niejedna pani chętniej odmówi sobie pójścia do kina, niż wizyty w takim salonie...

Jak wielkie znaczenie ma w niektórych zawodach nasza powierzchowność, dowiódł proces, który odbył się niedawno w Paryżu. Panna Monna Durthy, śliczna brunetka, została zaangażowana do jednego z dancingów Montmartre'u w charakterze fordanserki. Po pewnym czasie doszła do wniosku, że „panowie wolą blondynki" i jako konsekwentna i rezolutna osóbka kazała sobie ufarbować włosy na jasnolniany kolor. Skutki tego kosmetycznego zabiegu były zgoła nieoczekiwane; oburzony tą metamorfozą dyrektor wymówił jej z miejsca posadę. Przed sądem tłumaczył się tem, że zaangażował pannę Monnę jako brunetkę, więc z chwilą gdy ta zamieniła się w blondynkę, kontrakt jej automatycznie się unieważnił. Pomijając fakt, że on osobiście woli brunetki, to w lokalu jego bywają panowie, którzy nietylko zdradzają ten sam gust, ale przedewszystkiem kładą nacisk na to, aby ich partnerka do tańca była albo blondynką albo brunetką s t a ł e, to znaczy, aby nie byli narażeni na niespodziewane zmiany swego ulubionego typu. Dyrektor dancingu nie liczył się z przysłowiowem pobłażaniem francuskich sędziów w stosunku do „sexe faible" — i tym razem sąd orzekł, że każda kobieta ma prawo dowolnie zmieniać swą powierzchowność i farbować sobie włosy, ile jej się tylko podoba. Oskarżony dyrektor ma wprawdzie prawo angażować chętniej brunetki niż blondynki, lecz gdy przypadkowo przyjął brunetkę, która woli być blondynką, to musi pomimo tej zmiany kontrakt uznać za ważny, lub też zwalniając bez wymówienia z posady, zapłacić odpowiednie odszkodowanie.

Bardziej jeszcze skomplikowana jest tragikomiczna historja operacji nosa, która przed kilku miesiącami była sensacją dnia w Hollywoodzie. Pewna amerykańska aktorka, niebardzo ładna, grywała małe rólki na scenie, aż dnia pewnego odkryto niespodzianie jej wielki talent komiczny. Została więc momentalnie zaangażowana do Hollywoodu, gdzie po krótkim czasie zawarła kontrakt, gwarantujący jej 1500 dolarów tygodniowo. Panna Polly Moran była w siódmem niebie i postanowiła jak najprędzej usunąć przyczynę jej stałego zmartwienia, a mianowicie kazać sobie zoperować za duży i nieco krzywy nos, który ją bardzo szpecił. Udała się więc do jednego z pierwszych „chirurgów piękności" i natychmiast po udanej operacji udała się z nowym noskiem do dyrekcji, by zaprezentować się tam w blasku nowej urody. Jakiem jednak było jej zdumienie, gdy na jej widok miny dyrektorów nabrały wyrazu takiego przerażenia, jakgdyby ich gwiazda nie zamieniła się w Wenus, tylko w Meduzę. Oświadczono jej zimno, że właśnie komizm jej gry polegał na krzywym nosie i że nie płacą jej tak olbrzymich sum, za to aby łamała serca męskie i umierała w każdym filmie z miłości, tylko aby ludzie śmiali się z niej do rozpuku. „A czy kto się już kiedyś śmiał z ładnej dziewczyny, z klasycznym noskiem greckiej bogini?.. Kontrakt pani jest nieważny aż do chwili, w której doprowadzi pani swój nos do poprzedniej formy..." Nieszczęsna Polly musiała więc wybierać między karjerą i bogactwem — lub też szczęściem urody...

Od tej tragikomedji aż do t r a g e d j i urody — jest bardzo blisko. Dziwnym dreszczem przejmuje nas smutny i tragiczny koniec najpiękniejszych dziewcząt Ameryki, należących do słynnej z urody trupy tancerek w teatrze nowojorskim „Ziegfeld-Folies", tak zwanych „Ziegfeld-girls". W krótkim stosunkowo czasie zginęło siedem z nich doprawdy w okropny sposób.

Jedna, Allyn King, wielokrotnie wybierana królową piękności, zauważyła dnia pewnego, że jej figura traci swą idealną linję i staje się troszeczkę za pełna. Natychmiast zaczęła więc kurację głodową tak radykalną, że w następstwie tego szaleństwa ciężko zaniemogła i po długich miesiącach leżenia w szpitalu tak zbrzydła, że zmyliwszy raz czujność pielęgniarki, udała się na dach szpitala, skąd rzuciła się na bruk, nie mogąc przeżyć utraty urody. Podobną śmiercią zginęła i Lo Flen, zaręczona z wysokim brazylijskim dyplomatą. Ten, szalenie zazdrosny, robił jej wyrzuty, że kokietuje ze sceny młodych ludzi; wtedy rozdrażniona dziewczyna rzuciła się z okna drapacza nieba na ulicę, zabijając się na miejscu. — Peggy Davies, zaślubiła dzięki swej niezwykłej urodzie australijskiego miljonera, lecz nie znalazłszy w tym związku małżeńskim szczęścia, pokierowała swe auto wyścigowe w przystępie rozpaczy na jednem ze stromych zboczy w Nicei w przepaść.. — Marion Day zginęła straszną śmiercią, gdy myła swe włosy jakąś specjalną spirytusową cieczą, która niespodziewanie wybuchła. Cythię Cambridge, ubóstwianą tancerkę, zrzucił spłoszony koń podczas przejażdżki w parku pod koła nadjeżdżającego automobilu, który ją przejechał na śmierć. — Myrna Darby, najładniejsza girl Broadway'u, o której względy ubiegała się cała jeunesse dorée New-Yorku, rozchorowała się leżąc za długo na słońcu, w następstwie czego umarła samotna i opuszczona w obcym hotelowym pokoju miejscowości kąpielowej. — Najtragiczniej z nich zmarła znana piękność Helen Walsh. Pewnego dnia zaproszona została na luksusowy yacht miljonera amerykańskiego, Richmana, na przejażdżkę. W porcie Long Island, gdy napełniano rezerwoary benzyną, zdarzyła się nagle straszna eksplozja i w jednej chwili Helen znalazła się w płomieniach, pod palącemi się gruzami. Richman rzucił się na jej ratunek i wyciągnąwszy z pod palących się belek, starał się ugasić na niej ubranie. Nie mogąc dać sobie inaczej rady, wrzucił Helen do wody i skoczył za nią, by ją uratować. Lecz rany po spaleniu były już za ciężkie i w okropnych męczarniach zakończyła młode swe życie i ta błyszcząca gwiazda na nocnym firmamencie Broodway'u. Nieszczęśliwa dziewczyna powtarzała w szpitalu do ostatniej chwili wśród jęków ciągle te same słowa: „Ratujcie moją twarz, moja twarz — to mój majątek..."

Piękność nie zawsze uszczęśliwia — czasami trzeba ją okupić wielkiemi ofiarami, cierpieniem lub tragicznemi kolejami losu...

MARCELLA HALICZ

PRZEDWIOŚNIE MODY



Suknia z białej krepy marocain

W POŁOWIE LUTEGO nie chcemy już nic wiedzieć o zimie, nie myśleć o rzeczach zimowych, choć je jeszcze nosimy. Jest to już przedwiośnie mody. Już myśl o dniach wiosennych i letnich jest nam bliższa, już sezonowe albumy mód oddawna raczą nas widokiem powiewnych modeli, słomkowych kapeluszy, kostjumów plażowych i sportowych.

Jakieś podobne motywy powtarzają się w przyrodzie.

Jeszcze wprawdzie czasem „północ mrozem dmucha", jeszcze zawieje śnieżne nie należą do rzadkości, ale dnie są przecież dłuższe, słońce promienniejsze i grzejące lepiej, a nadewszystko — świadomość, że najgorszą część zimy mamy już za sobą.

W modzie zaznacza się wiosenny nastrój powrotem kolorów na ulicę, w tym roku jaśniejszych niż w latach ubiegłych. Zwłaszcza na suknie.

W nadchodzącym sezonie wiosennym rzuca moda na swoją kapryśną paletę delikatniejsze barwy, mniej jaskrawe i mniej widoczne, aniżeli minionej wiosny. — Akwarelowe, świetliste tony zdobyły oczy fabrykantów materjałów i twórców mody. Niektóre z nich są tak blade i dyskretne, jak gdyby wypełzły w praniu lub w słońcu, nazwane są też: *teintes lavees*. A wśród nich honorowe miejsce zajmuje żółtawy beige, kremowy, mastic (mniej więcej kolor kitu), i biały, ale niezupełnie czysty lecz z lekkim nalotem najjaśniejszego popielatego.

Oczywiście, są to kolory niebardzo praktyczne do użytku codziennego, na t. zw. petites robes, ale raczej na popołudniowe, a także na bluzeczki do prania. Dla ilustracji podaję model z białej matowej krepy marocain, lekko spatynowanej popielatawo. Bufiaste rękawy opadają nisko na dłonie, a w kostce są niewidocznie ściągnięte na gumkę. Wycięcie wykończone sfaldowanym szalikiem, skrojonym razem ze suknią, związanym na węzeł i przybranym ciemno-brunatnym aksamitem breitschwantzowym.

Podaję też model wiosennego kostjumu, który jest tak uroczy w swej prostocie, że nie mogę oprzeć się chęci zaprezentowania go Czytelniczkom. Wykonany z jasnego homespunu, t. j. suknia, a żakiet z gładkiej, zupełnie ciemnej welny; przylegający, w biodrach obcisły, przybrany wyłogami z białej, jedwabnej piki. Suknia z paskiem, zapięta w całej długości przodu na guziki, ozdobiona białemi kokardkami z piki. Białe, półdługie rękawiczki do prania. Kapelusz, torebka i pantofelki w kolorze żakieta. Jest to model nadający się dla każdego wieku, równie dobrze dla młodej dziewczyny, jak dla dojrzałej kobiety. Wymagany tylko jeden warunek: smukłość.

Ponieważ noszone są różne długości kostjumów i sukien codziennych, a kwestja ta niepokoi stale panie przy sprawianiu nowej garderoby, przeto informuję, że normą jest 25 cm od ziemi. Pierwszem też pytaniem w listach Czytelniczek bywa z reguły: jak długie suknie noszą w Paryżu? Zapewniam, że tak długich, jakie prezentowały niektóre nasze panie przedpołudniem i popołudniu na ulicach miast — paryżanki nie nosiły nigdy. Jeśli na ulicach Paryża widywało się kiedy nieodpowiednią długość — były to panie z prowincji lub z zagranicy. Nieporozumienie zaś polega na tem, że nie wszystkie panie rozumieją przeznaczenie modeli, które im się podobają. Strojne suknie popołudniowo-wizytowe, przeznaczone na przyjęcia z tańcami, na zabawy ogrodowe, pobyty w modnych uzdrowiskach miały inną długość od tych, w jakich załatwiamy różne sprawy w mieście, odbywamy przechadzki i t. p. A w zbliżającym się sezonie i te suknie będą krótsze, aniżeli w ubiegłym, bo 20 cm od ziemi. Powtarzam tę przestrogę już nie wiem po raz który: nie przesadzać w długości sukien na ulicę!

Oprócz długości sukien nasuwa mi się jeszcze jedna uwaga.

Oto panie, widząc w żurnalach i za witrynami modniarek słomkowe kapelusze w lutym, nabywają je natychmiast i corychlej wkładają. O ile wczesne kupno kapeluszy jest rzeczą łatwo zrozumiałą, juz chociażby jako przyjemność większego wyboru modeli, o tyle noszenie ich w zimie — bo luty to jeszcze nawet kalendarzowa zima — jest nieodpowiednie. Słomka nie harmonizuje wówczas ani z nastrojem ulicy, ani z ubraniem.

CAILLER-SOBAŃSKA



Kostjum wiosenny z homespunu



17—18 Komplecik z zielonego diagonalu. Sukienka przybrana białym kołnierzykiem i guzikami. Płaszczyk z pelerynką.
19 Sukieneczka z kashy beige, pasek lakierkowy.
20 Praktyczny płaszczyk z impregnowanej gabardyny, z paskiem i stojącym kołnierzykiem.
21 Kostjum z granatowej charmelaine. Bluzeczka i szal z wełny szkockiej.
22 Wiosenny kostjum złożony z granatowego płaszczyka i sukni w granatowo-białą krateczkę.



23 Milutki komplecik; płaszczyk z wełnianego, bronzowego aksamitu, sukieneczka z wełny beige.

24 Komplecik złożony z czerwonej, flanelowej sukienki i granatowej kamizelki.

25 Domowa sukienka z niebieskiej flanelki, przybrana granatową wstążką.

26 Domowa sukienka z flanelki w paski. Biały kołnierzyk z ciemną kokardą; guziczki.

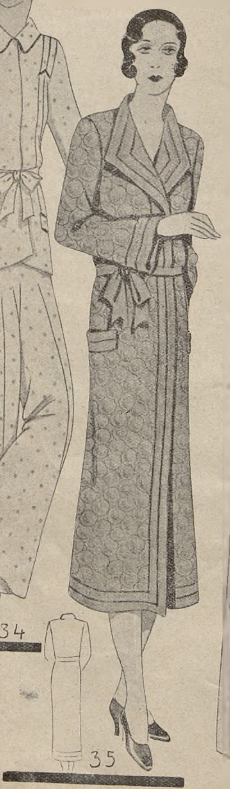
27 Sukienka z czerwonej krepy wełnianej; pliska przy szyi i pasek z materjału sukienki.

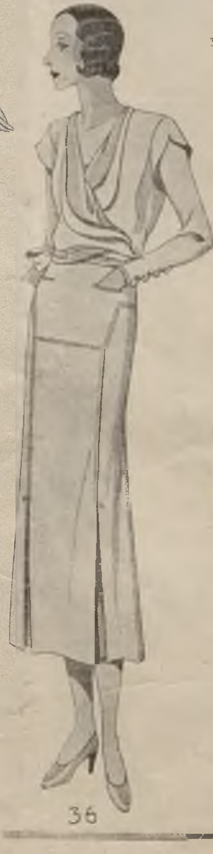
28 Strojniejsza sukienka z ciemnego aksamitu do prania; kołnierz i kokarda z białego batystu.

MODELE Z MATERJAŁÓW KRAJOWYCH

29 Czarny fartuszek ozdobiony barwnym haftem, albo gotową bordiurą.
30 Sukieneczka z jasnej flanelki; kołnierz, mankiety i dół sukni wykończony obdzierganemi ząbkami.
31 Fartuszek z gładkiego i deseniowego kretonu.
32 Fartuszek z jedwabiu wzorzystego.
33 Sukieneczka z miękkiej wełny, przybrana plisowaną riuszką i guzikami.
34 Poranna pyjama z flanelki w drobne punkciki
35 Poranny szlafrok z grubej wzorzystej flaneli, przybrany pliskami z gładkiego jedwabiu do prania.
36 Suknia popołudniowa z jedwabiu beige rosé; kołnierz z wyłogami i przewinięcie przy pasku z jedwabiu niebieskawego
37 Gaine z jedwabnego jerseyu, zupełnie bez rogów, niewidoczna pod wieczorowemi toaletami.


34


35


36


37

DŻEMPRY I KAMIZELKI Z KRAJ. TRYKOTÓW

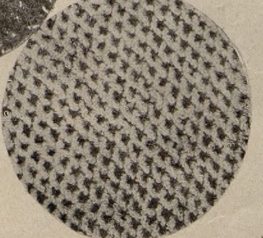
38—41 Klasyczny dżemper biały, przybrany plecionką wełnianą. Czarny pasek lakierkowy. — Kamizelka z granatowego materjału trykotowego, przybrana białym jedwabnym i guzikami. — Kamizelka z czarnego trykotu, wykończona białą bordiurą. — Dżemper z rdzawego trykotu; wykończenie u szyi i mankiety w jasno-żółtym kolorze.
42 — 43 — 44 Wzory najnowszych tkanin trykotowych.



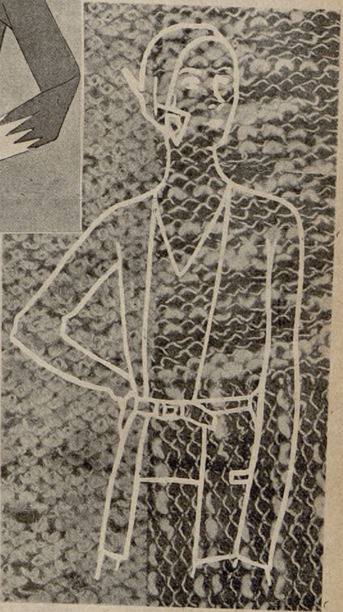
38- 41



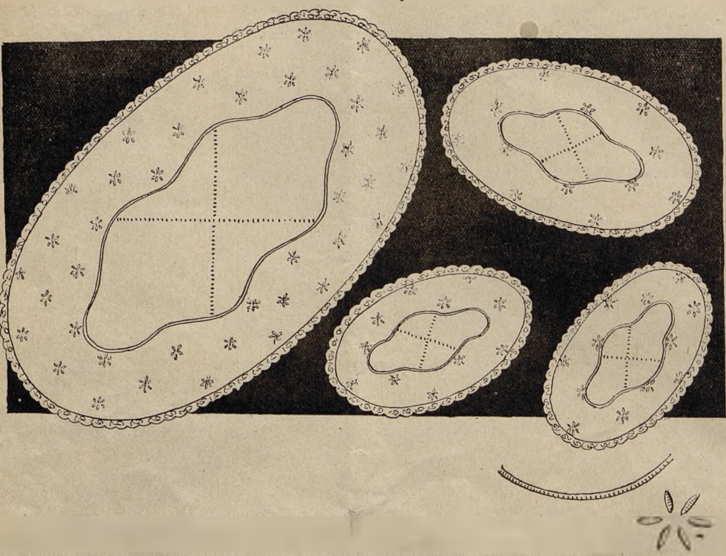
42

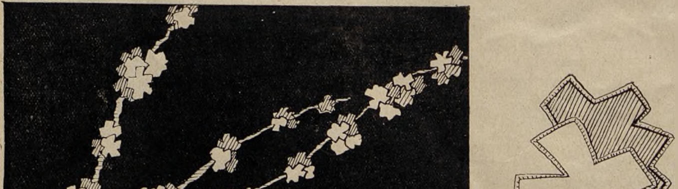


43



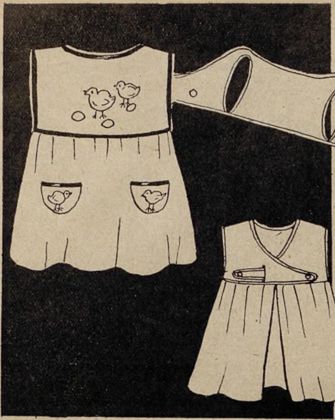
44





Ryc. 5. — GARNITUR SERWETEK z lnianego batystu albo opalu, wykonany haftem plaskim, albo madeirą i mereżką; wokoło koroneczka. Wzór można wykonać również haftem kolorowym.

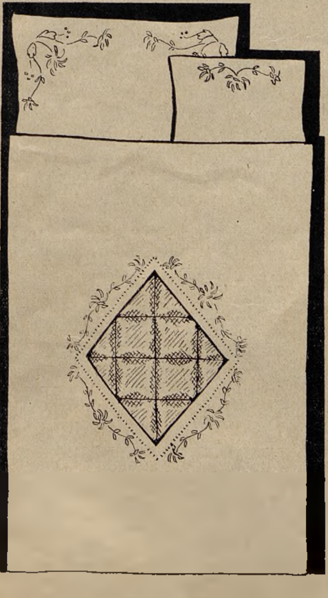
Ryc. 6. — MAKATA. Na ciemnem tle aplikacje z sukna lub jedwabiu, albo na jasnem tle malowanie kredkami lub też farbami. Kwiaty różowe, w 3 odcieniach; gałązki blado-zielone.







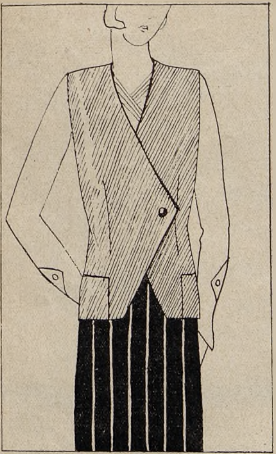


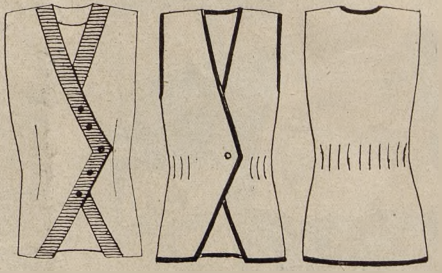


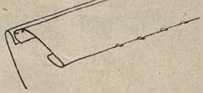
Ryc. 7. — FARTUSZEK dla dziewczynki 3—4-letniej. Oryginalny staniczek ozdobiony haftem bardzo łatwym. Kurczątka żółte, jajka białe. Fartuszek uszyty z niebieskiego płótna, lamowania czerwone, albo granatowe. Obok szczegół naturalnej wielkości.

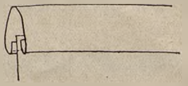
Ryc. 8. — GARNITUR POŚCIELOWY, haft płaski. Próbka haftu u góry na prawo.

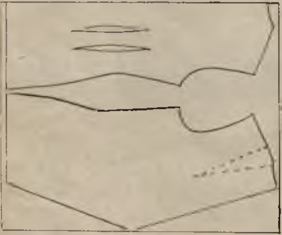
Ryc 9—10. — DWA SZLAKI wykonane łatwym haftem do ozdobienia dziecięcej garderoby, zasłonek, pasków i t. p. Ściegi: płaski, pocztowy, przewlekany, węzełkowy i stebnowany.

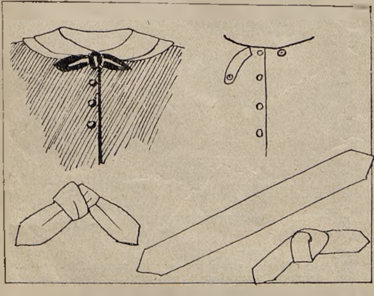












KĄCIK PRAKTYCZNY

KAMIZELKA W ROZMAITEM WYKONANIU

Kamizelka jest tak praktyczną częścią garderoby, że prawie nigdy nie wychodzi z mody. Przy obecnej tendencji podkreślenia linij ciała, kamizelka musi być przystosowana do figury przy pomocy wszytek, które można w rozmaity sposób wykonać. Pierwsza rycina pokazuje najskromniejsze wykończenie. Obcisłość jest tu uzyskana przez dwie wszytki zprzodu, a 4 ztyłu. Cała kamizelka jest podszyta jedwabiem, jednakowoż jeśli wykonywamy ją z grubszego materjału, wystarczy wykończyć brzegi listewką z tego samego materjału, albo z odpowiedniego jedwabiu.

Drugi sposób wykończenia jest bardzo wdzięczny; brzegi kamizelki są wykończone nałożonemi plisami z odmiennego, albo tego samego materjału, a guziczki odpowiednio przyszyte dodają szyku. Urozmaicić można ten sposób wykończenia jeszcze przez wypustki w odmiennym kolorze, wystające nieco z pod plisy.

Korzystne dla tęższych figur są drobne wszytki wykonane ztyłu i na bokach, jak to pokazuje rycina 3. Ten sposób wykończenia jest również korzystny dla młodych osób, które chciałyby sobie przyczynić nieco tuszy; tęższe panie bowiem wypełnią objętość stworzoną przy pomocy wszytek, szczuplejsze natomiast zyskują przez dostatniość materjału. Lamówki pięknie wykończają brzegi.

Na kamizelkę wystarczy ¾ m materjału podwójnej szerokości. Jeśli pragniemy mieć kieszenie, składamy je z pozostałych kawałków.

Dostarczamy kroju na żądanie.

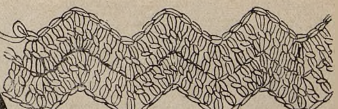
PRAKTYCZNY SPOSÓB PRZYTWIERDZANIA KRAWATÓW I KOKARDEK

Przypinanie jest bardzo niepraktyczne, gdyż nadwerężą materjał. Lepiej więc uszyć wąziutką pateczkę, przyszyć jeden koniec do prawego przodu a drugi zapinać na lewym przy pomocy zatrzasku. Na pateczkę tę można nawlekać kokardki, co ułatwia wymienianie i zapewnia równe przytwierdzenie.

Na szkicu podajemy również łatwe wykonanie kokardki z jedwabiu; wypranie, wyprasowanie i wiązanie takiej kokardki jest bardzo łatwe, a wynik wdzięczny i szykowny.

Z. KULCZYCKA

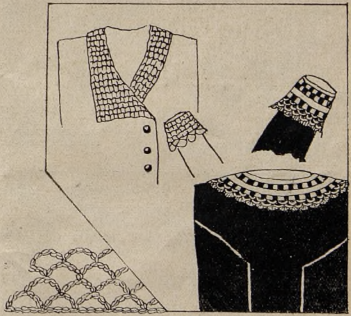


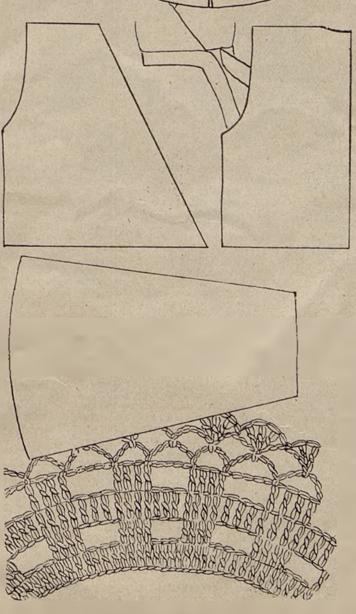


95



a





KURS TRYKOTARSTWA SZYDEŁKOWEGO

BLUZKA WIĄZANA ZBOKU

Bardzo wdzięczny model stosowny dla młodszych jak i dla starszych pań. Ścieg łatwy ze słupków raz nawijanych. Zaczyna się łańcuszkiem, który powinien być o połowę dłuższy, niż szerokość danej części kroju, podług której się szydełkuje. Rycina 95 a wskazuje, w jaki sposób zaczyna się robotę. Po 2 słupkach robionych oddzielnie do oczek łańcuszka, robi się 3 słupki do jednego oczka, poczem należy znowu zrobić 2 słupki oddzielnie do 2 oczek łańcuszka. Następnie nawija się raz, przewleka nitkę przez następne oczko łańcuszka, przerabia raz, nawija, wkłówa w oczko obok, przerabia raz i postępuje tak samo z oczkiem obok, poczem przerabia się wszystkie kluczki znajdujące się na szydełku jednem przewleczeniem nitki. W ten sposób powstają 3 słupki zebrane w jedno oczko końcowe, jak to przedstawia rycina 95, z lewej strony u góry.

Brzeg bluzki wykończony ścisłemi oczkami, któremi wykonany również pasek i rękawy u dołu. Pasek przyszyty do dolnego brzegu bluzki w ten sposób, że lewy przód podchodzi pod prawy, do którego przypina się zatrzaskiem, jak to widać na szkicu.

Kołnierzyki i mankiety szydełkowane z włóczki, albo bawełny lub też jedwabiu są dziś bardzo modne. Nawet wyłogi sukien zdobi się szydełkowaniem.

Podajemy więc dwa garnitury, których wykonanie jest bardzo łatwe. Pierwszy składa się z samych oczek w powietrzu i ze ścisłych oczek; robi się po 5 oczek w powietrzu, które przyczepia się 1 ścisłem oczkiem do ząbka poprzedniego rzędu. Ostatnie rzędy mankietów składają się z łuków z oczek w powietrzu, których liczba powiększa się stopniowo do jedenastu. Jako materjał służy włochata włóczka, albo jedwab.

Łatwa jest również robota drugiego garnituru, którego wykonanie tłumaczy bardzo jasno rycina z lewej strony u dołu. Pierwszy rząd składa się z samych słupków, drugi jest przerywany oczkami w powietrzu, trzeci stanowią znowu słupki. Czwarty składa się ze słupków przerwanych oczkami w powietrzu, których liczbę pomnażamy do pięciu. Następny rząd tworzą łuczki z 7 oczek w powietrzu i ze ścisłych oczek, tak samo wykonywa się drugi rząd łuczków. Ostatni rząd są to wachlarzyki, utworzone z 3 słupków nawijanych i z oczka ścisłego.

Zaokrąglenie kołnierzyka można uzyskać, używając szydełek trzech grubości. Zacząć najcieńszem, drugi rząd robić trochę grubszem, ostatnie rzędy jeszcze grubszem Jako materjał służy tak samo włóczka, albo jedwab lub też bawełna.

Z. KULCZYCKA

DOBRA GOSPODYNI

popiera wyroby krajowe

KOMUNIKAT. — Instytut Gospodarstwa Domowego komunikuje, że został wydany poradnik I. G. D. nr 1, pod tytułem „Racjonalne podstawy prania domowego". — Cena egzemplarza zł. 1, z przesyłką zł. 1,10. Nabywać można w Instytucie Gospodarstwa Domowego, Warszawa, ul. Nowy Świat 9. — Jest to krótka broszura, w której omawiane są zasady, któremi należy się kierować przy praniu domowem. Po uważnem jej przeczytaniu, uwydatniają się wszystkie błędy, które tak często powodują wady w praniu bielizny. Poszczególne rozdziały obejmują tematy następujące: własności brudu na tkaninie, sposoby usuwania brudu z tkanin, własności materjałów przeznaczonych do prania, mechaniczne czynności prania, odczynniki stosowane przy praniu i zasady prania. — Cena broszury jest przystępna, treść zwięźle ujęta, wobec czego należy życzyć, aby wszystkie gospodynie, zarówno w interesie własnym, jak i w ogólnym interesie gospodarki narodowej, zaznajomiły się z tą broszurą.

PRZEWIETRZANIE MIESZKANIA. — Racjonalne przewietrzanie mieszkania jest szczególnie ważne w zimie, w lecie bowiem sprawa ta jest łatwa do rozwiązania i nie przedstawia trudności. W mieszkaniach mamy naturalną wentylację przez ściany, które są porowate, przez drzwi, które nie są tak szczelne, by powietrze nie przeciskało się przez nie i podobnie przez okna nawet nieotwierane. Wentylacja ta jednak nie jest wystarczająca, a powietrze, które wnika przez otwieranie drzwi i ich nieszczelność, jest często nieświeże, gdyż pochodzi bądź z innych pomieszczeń mieszkalnych, bądź z kurytarzy przepełnionych wyziewami z kuchni lub z innych ubikacyj.

Naturalną wentylację często uszczuplamy, zalepiając okna i wylepiając ściany tapetami i to w dodatku podwójną warstwą, przy pomocy gęstego klajstru. Nie możemy się wobec tego obejść bez otwierania okien. Popełniamy przytem jednak mnóstwo błędów. Wiemy, że zimne powietrze, jako cięższe, zajmuje niższe warstwy, ciepłe zaś wyższe. Gdy wietrzymy, musimy umożliwić tym warstwom szybką wymianę. Zimne powietrze wciska się z zewnątrz dołem, ciepłe i zużyte uchodzi górą, nie wystarczy więc otworzyć małą część okna, albo posługiwać się małym wentylatorem, gdyż wymiana może tylko nastąpić powoli i niedostatecznie. Trzeba więc otwierać nietylko dolne albo górne okno, ale całe.

Zbawienną treścią lekarskiej kosmetyki — indywidualne pielęgnowanie urody

(Z. B.) Celem zrozumienia istoty zagadnienia kwestji długowieczności, tudzież do późnej nieraz starości zachowanego wyglądu młodocianego dzisiejszej kobiety, uzmysłowić sobie należy zawrotny wprost postęp w dziedzinie higjeny ogólnej oraz w lekarskiej kosmetyce, jak niemniej — uświadomienie ogółu w wymienionych dziedzinach wiedzy. Gdy prysły dawne nielogizmy, gdy zrzucono zgubne szaty złudnych szminek, zarzucono manjerę szablonowego „pielęgnowania" urody, byle jakim, rzekomo uniwersalnie działającym środkiem, zwrócił się cały niemal świat kobiet do jedynie racjonalnej, bo **indywidualnej metody** pielęgnowania cery, włosów i skóry ciała. Uderzająca atoli była przepaść między dorobkiem wiedzy a wytwórczością kosmetyczną, ponieważ dawniej fabrykowano jeno uniwersalne preparaty kosmetyczne, niestety często arcyszkodliwe. Troskę braku odpowiednich preparatów kosmetycznych rozwiązały dopiero Zakłady „Miraculum", które obrały sobie zadanie wytwarzania, preparatów lekarsko-kosmetycznych z przepisów specjalistów lekarskiej kosmetyki, dostosowanych ściśle do danych właściwości cery, włosów i skóry ciała. Wybitną zasługę Zakładów „Miraculum" stanowi metoda uświadamiania ogółu w kwestji samodzielnego rozpoznawania danej właściwości cery, tudzież doboru stosownego preparatu, drogą broszurek załączonych do najtańszych nawet preparatów codziennego użytku, jak: Shampoon Dra Lustra, naświetlonego kremu „Ultrasol" i t. d. Charakterystyczną cechą skrupulatności Zakładów „Miraculum", jest odradzanie zakupu własnego wyrobu, jeśli preparat nie nadaje się do danej właściwości. I tak odradza autor osobom o tłustej właściwości cery posługiwania się nawet mydłem neutralnem Dra Lustra, wszelakim kremem „Miraculum", ponieważ preparaty zawierające tłuszcz, niszczą tłustą cerę, natomiast wskazuje na skuteczność odtłuszczania jej gorącą wodą, proszkiem marmurowym „Miraculum" i higjenicznym pudrem odtłuszczającym, z przepisu Dra Lustra. Pochwały godne jest zniżenie ceny niektórych preparatów, celem udostępnienia ich szerszemu ogółowi. I tak uległy zniżce, dzięki zmniejszonemu nieco opakowaniu: prawdziwe otrąbki migdałowe Dra Lustra.

W zimie wprawdzie powietrze w pokoju jest zawsze cieplejsze, niż na dworze, ale przewietrzenie następuje gruntowniej i szybciej, jeśli różnica w temperaturze jest znaczna. Dlatego dobrze jest wietrzyć przed zapaleniem — by powietrze w pokoju zawierało dość tlenu dla podtrzymania procesu opalania, i po opaleniu, gdy powietrze jest dobrze ogrzane, wystarczy wtedy bowiem 5—10 minut do zupełnego przewietrzenia pokoju.

Otwierając w zimie okna na dłuższy okres czasu, oziębiamy mury i sprzęty, które oddają wszelkie zamagazynowane ciepło i później powoli dopiero się ogrzewają. W ten sposób nie osiągamy celu, gdyż od chwili, od której powietrze nazewnątrz i wewnątrz mieszkania posiada ten sam stopień temperatury, ustaje wymiana, a następuje tylko wyżej wspomniane oziębienie zbiorników ciepła. Lepiej i racjonalniej jest więc wietrzyć często np. w pomieszczeniach używanych przez kilka osób co godzinę — przez 5 minut, niż wietrzyć godzinami. A najlepiej postarać się o silny przewiew naprzestrzał, przyczem możemy otwierać także drzwi, o ile prowadzą na wolne powietrze, albo do pomieszczeń, w których powietrze jest świeże lub w których okna są otwarte.

Jeśli powietrze jest wilgotne, jak to bywa często na wiosnę lub w jesieni, nie powinno się również całemi godzinami wietrzyć szczególnie sypialni i pościeli, która wchłania podobnie jak sprzęty wyścielane i wszelkie tkaniny w mieszkaniu, wilgoć, która się później udziela naszemu organizmowi i powoduje reumatyzmy i inne schorzenia. Każdy już doświadczył, jak trudno ogrzać się w pościeli przepojonej wilgocią. Trzeba więc i w tych okresach stosować taką samą metodę wietrzenia, co w zimie.

Pościel najlepiej wietrzyć w godzinach południowych, kiedy powietrze jest suche i niezbyt zimne. W lecie wietrzenie jest łatwe, gdyż można okna otwierać dniem i nocą, ale w dnie mgliste i w górach, gdzie w kotlinach i nad potokami snuje się mgła w godzinach wieczornych i porannych, wietrzenie bezustanne ma swe ujemne strony. Również tam, gdzie unosi się dużo kurzu, jak przy gościńcach i ruchliwych ulicach, nie można wietrzyć przez całą dobę, tylko w godzinach porannych i wieczornych, gdy ruch jest mniejszy, a rosa zwilża pył. Siatki muślinowe, wstawiane w okna, nie przyczyniają się wcale do przewietrzania mieszkania, gdyż otwory są zbyt małe i w dodatku zatkane kurzem.

Wietrzniki, poruszające powietrze również nie mają wartości, gdyż prąd powietrza musiałby być bardzo silny i pochodzić wprost ze dworu, żeby przemiana była szybka i dostarczała naprawdę świeżego powietrza.

DOSKONAŁY KLEJ DO WSZYSTKIEGO. — Rozpuścić 4 części gumy arabskiej w takiej ilości wody, żeby płyn nie był zbyt gęsty, następnie dodać 3 części krochmalu i 1 część cukru. Gotować wszystko w naczyniu wstawionem do wrzącej wody, aż masa będzie przezroczysta. Dodać kwasu salicylowego na koniec noża i przechować w butelce z szeroką szyjką, albo w słoiczku.

BUDYŃ KARTOFLANY. — Utrzeć ½ kg kartofli ugotowanych dnia poprzedniego, dodać do tego masła 6 dkg utartego z 10 dkg cukru i 3-ma żółtkami, 1 dkg utartych słodkich migdałów i kilka gorzkich, szczyptę soli, odrobinę skórki cytrynowej i pianę z trzech białek. Włożyć masę do wysmarowanej formy, posypać cukrem i piec przez godzinę. Podać z sokiem owocowym.

BUDYŃ CZEKOLADOWY. Zagotować w kamiennym garnku ½ l mleka, 10 dkg czekolady i 1 dkg kakao. Wsypać 10 dkg mąki i mieszać dokładnie, następnie odstawić i wystudzić. Utrzeć 5 dkg masła, dodać 6 dkg cukru, 4 żółtka, wystudzoną masę i pianę z białek i gotować przez godzinę w formie budyniowej. Podać z sosem waniljowym.

GRZEBIENI nie powinno się myć w wodzie z mydłem albo sodą. Białe grzebienie żółkną wskutek tego, a inne tracą połysk. Najlepiej myć je w wodzie z amonjakiem, w proporcji: łyżka na kwaterkę wody. Rogowych grzebieni nie wolno myć w gorącej wodzie, gdyż paczą się łatwo.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI: „Przylądek dobrej nadziei". — Książka Nowakowskiego jest interesująca jako przykład połowu tematu, ze źródeł wszystko jedno jakich. Są to przeżycia własne autora w dzieciństwie, czyli to samo co u Kadena-Bandrowskiego w „Cieniu zapomnianej Olszyny". Tylko, gdy u Kadena każde opowiadanie miało pewien wątek logiczny, prowadzący do zawsze etycznego celu — u Nowakowskiego właśnie brak tego celu sprawia niemiłe, niekiedy wprost przykre wrażenie. Np. matka autora jest wdową, daje lekcje i walczy ciężko z trudnościami finansowemi (weksle, lichwiarze i t. d.). Dzieci wiedzą o tem, a jednak nie oddają matce korony, która wpadła pod szafę. No i co? I nic. Fakt przechodzi niezauważony, potraktowany przez autora humorystycznie, jako figiel dziecięcy — a na pierwszej stronie jest dedykacja: mojej matce!

Książka miała być wesoła i pogodna, ale z powodu takich szczegółów jest smutna. J. O.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

KORNEL MAKUSZYŃSKI: „Człowiek znaleziony w nocy". — Wyd. Gebethner i Wolff, Warszawa, 1932 — „Jakgdyby się uwziął, że mnie będzie wzruszeniami pobudzał do życia, wzruszał mnie wciąż. Sam przed sobą udawałem, że się bronię, bo mi się to wydawało i sentymentalne i dziecinne".

Owszem, nietylko wydaje się, ale jest i sentymentalne i dziecinne. Natomiast zamiar wzruszenia nie udał się. Szlachetności w tej książce jest za wiele, łzy zalewają stronice, głód, chłód, nędza i problem miłosierdzia dostarczone są wagonowo, w imitacji. Pozatem „Człowiek znaleziony w nocy" i jego partnerzy, bez względu na płeć, wiek i stopień wykształcenia przemawiają wszyscy językiem — nie — manierą Makuszyńskiego. „Strzępem głosu", „szeptem ulepionym z lęku", „łgają ponuro" i robią „ponure hece" — a „uśmiech im zgasł". Nam także!

WYSTAWA ZABYTKÓW ORMIAŃSKICH. — Z inicjatywy „Towarzystwa Miłośników Przeszłości Lwowa", przy współudziale Muzeów miejskich i „Archidiecezjalnego Związku Ormian", powstał projekt urządzenia we Lwowie w lutym 1932 r. **Wystawy Zabytków ormiańskich.**

Celem tej wystawy będzie zebranie i pokazanie społeczeństwu, ocalałych z burz przeszłości, pamiątek kultury duchowej i materjalnej Ormian polskich, którzy w najściślejszem zespoleniu z nową ojczyzną od wieków zasilali cennemi pierwiastkami swego charakteru nasz organizm kresowy.

Lwów, siedziba największej niegdyś kolonji ormiańskiej, miejsce istnienia katedry Ormian i ich arcybiskupia stolica, spoił nieodłącznie swe dzieje z ich gospodarczą i kulturalną działalnością. Wchłonąwszy w swój teren i mury wiekową pracę Ormian, powinien obecnie dowieść, że fale działalności minionych ormiańskich pokoleń zakreślają jeszcze dotąd szerokie kręgi w pamięci lwowian i najserdeczniejsze budzą echa.

Projektowana wystawa, która obejmie nieznane dotąd zabytki kultu religijnego, obrazy, portrety, rysunki, ryciny, fotografje, dyplomy, rękopisy, archiwalja, broń, wyroby przemysłu artystycznego, druki ormiańskie etc., nie może być obojętna najszerszym warstwom społeczeństwa — jeśli godnie ma spełnić swe zadanie.

W tem przekonaniu, podpisani imieniem Komitetu, utworzonego pod protektoratem J. Ex. ks. arcybiskupa Józefa Teodorowicza i marszałka Walerjana Krzeczunowicza, zwracają się z gorącą prośbą do wszystkich posiadaczy jakichkolwiek zabytków i pamiątek, łączących się z przeszłością i kulturą ormiańską, aby zgłosili je łaskawie do Komitetu i raczyli wypożyczyć je jako eksponaty na okres trwania Wystawy. Komitet ręczy za całość i zwrot wypożyczonych przedmiotów.

Zgłoszenia i eksponaty skierowywać należy pod adresem: „Komitetu Wystawy Zabytków Ormiańskich", Muzeum Narodowe im. króla Jana III, Lwów, Rynek 6.

We Lwowie, 15 stycznia 1932.

Za Komitet: Jan Antoniewicz — prezes, Ks. kan. Dyonizy Kajetanowicz, Dr Aleksander Czołowski.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

PRAKTYCZNA. — Jakkolwiek na modelach w żurnalach nie widać tego, obcisłość sukien uzyskuje się przez wszytki i zapięcia. Wszytki umieszcza się na ramionach, w pasie zprzodu i na plecach, na piersiach przy rękawach. Wykonać je można albo niewidocznie, albo umyślnie zaakcentować, jako najdrobniejsze zakładeczki, układane we wzory. Zapięcia umieszcza się w bocznych szwach lub w środku na plecach. Na zatrzaski, albo na guziczki.

PAN B. — Możemy Panu polecić znaną ze solidności firmę, która, po przystępnych cenach a ze smakiem, urządzi mieszkanie, gdyż posiada stale na składzie oprócz gotowych mebli, materjały meblowe, firanki i piękne tapety. Adres: T. Kysiak i Synowie, Lwów, pl. Smolki 4, tel. 40-09.

TELEFON BEZ NUMERU. — Autorka nie pozwoliła podać adresu i prosi o wysłanie listu do redakcji „Świata Kobiecego".

P. KAROL P. — Podajemy adres: Centralne Towarzystwo Rolnicze, Warszawa, Kopernika 30.

PANI IRMA Z. — Nie możemy wyczerpująco odpowiedzieć w druku. Zabrałoby to za dużo miejsca. Kwestji zmarszczek poświęcone były w „Świecie Kobiecym" osobne artykuły. Nie widząc ich rozmiarów, trudno dobrze poradzić coby było najodpowiedniejsze dla Pani. Istnieją różne płynne maseczki, kremy, oliwa specjalna, a najszybszym i najradykalniejszym środkiem jest operacja. Skoro idzie Pani o zachowanie incognita — proszę zatelefonować do redakcji między 10 — 13 godz. w południe, a może się jakoś porozumiemy, ażeby coś pomóc, a bez dużych kosztów.

A. W. — Prosimy przeczytać artykuł o modzie w 2 nrze „Świata Kobiecego", a znajdzie w nim Pani dokładną odpowiedź.

ALINA B. — Wierszy, ani noweli nie wydrukujemy. — Co zaś do noweli, naprawdę, przykro ją było czytać — pomijając inne względy — z powodu nieumiejętności władania polskim językiem. Radzimy szczerze, niech Pani wprzód opanuje ojczysty język, a dopiero potem zabierze się do pisania.

PANI MARJA. — Wszelkie skórki wyprawia sposobem lipskim, a zatem najlepszym, firma Karola Schürera, Lwów, Senatorska 11, a. Posiada na składzie wielki wybór lisów i wszystkich modnych skórek, a zarazem wykonywa najszykowniejsze modele futrzanych płaszczy i kurteczek, oraz do niepoznania przerabia stare modele.

TRÓJKA. — Jeżeli mają Panie tyle książek do ofiarowania i nie wiedzą, gdzie je skierować, możemy podać adresy: Radjo dzieciom, Lwów, Batorego 6 — z serji książek dla dzieci i młodzieży dorastającej. Książnica-Atlas dołącza do swoich wydawnictw dla młodzieży mądrą i wzruszającą ulotkę tej treści: Kochani Koledzy! Nie zapominajcie o setkach tysięcy młodzieży polskiej poza granicami kraju, która, pozbawiona niejednokrotnie szkół polskich, książek i podręczników, skazana jest na wynarodowienie. Nie niszczcie tej książki a, gdy już Wam nie będzie potrzebna, złóżcie ją w „Towarzystwie Opieki Kulturalnej nad Polakami, zamieszkałymi za granicą, im. A. Mickiewicza", Warszawa, Ordynacka 5, m. 5, aby z niej mogli korzystać Wasi bracia, znajdujący się za granicą, do których będzie wysłana. — Książki dla dorosłych może zechcą Panie wysłać Polakom w francuskiej Legji Cudzoziemskiej: Foyer du Legionnaire, pour les legionnaires polonais, Sidi bel Abbès, Algérie, Afrique, I Regiment Etranger.

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska**

Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administr.: Lwów, Chorążczyzny 27; Warszawa, Wilcza 3
Telefon admin.: 4-32 Drukarnia Księgarni Polskiej B. Połonieckiego, Lwów, Chorążczyzny 27. Tel. 85-16 Telefon redakcji 48-34

1309

Herbata Piedla

Lwów, ul. Rutowskiego l. 3

Poco dużo słów!

Wystarczy stwierdzić u znajomych, by przekonać się o nadzwyczajnych walorach naszego świetnego

Poudre Comprimée Isto



PUDER Isto zł. 1.-

J. & S. STEMPNIEWICZ, POZNAŃ

HADŻI ELIM I BANDYTA ABBU SUDI.

Hadżi Elimowi śniła się Mekka. Szczęśliwy uśmiech igrał mu na ustach, gdyż właśnie w tej chwili Allach mianował go odźwiernym siódmego nieba; uśmiechał się coraz radośniej, bo oto Allach we własnej postaci stał przed nim szarpiąc go za ramię, najpierw lekko, potem coraz silniej, wołał na niego, potem krzyczał i znów potrząsał: „Hej! obudź się, synu pustyni, przed tobą stoi Abbu Sudi, cztery razy koronowany!". Elim ocknął się wreszcie, przetarł oczy i ku swemu przerażeniu poznał Abbu Sudi, sławnego bandytę. Po ciele jego przebiegło drżenie. „Miej litość, effendi! Ty, ośm razy pochwalony, nie zabijaj mnie, a ja ci za to podaruję rzecz czyniącą cuda". Mówiąc to sięgnął do kieszeni, wyciągnął z niej 2 tabletki Aspiryny i rzekł. „Dostojny, 16 razy koronowany królu, bierz i słuchaj: Jeśli będziesz kiedykolwiek cierpiał na ból głowy lub na reumatyzm, wówczas zażyj te tabletki. Szybko zniknie twój ból, a twarz twoja będzie promieniała jak oczy Allacha" Abbu Sudi zdumiał się; odeszła mu chęć rabunku. Przyjął wdzięcznie tabletki Aspiryny i rzekł: „Zaprawdę, jesteś wielkim hadżim, twój dar przychodzi w porę, gdyż żona moja już od kilku dni cierpi na darcie w kościach i ból zębów; Allach mi cię zesłał". Z temi słowy szybko się oddalił. A Hadżi Elim pokłonił się trzykrotnie w stronę Mekki i wielbił głośno oryginalne tabletki Aspiryny, które nie zawiodły go nigdy przy bólu głowy, zębów, reumatyzmie, grypie i wogóle przy wszystkich przeziębieniach.

Niema brzydkich Pań

Gabinet kosmetyczny „DISTINCTION"

Lwów, ul. Kopernika l. 42 a — Telefon 72-8

wykonuje wszelkie zabiegi w zakres kosmetyki [illegible]

1317 **Ceny nader przystępne**

Godziny przyjęć od 10 — 13 i od 16 — 19

Ukazało się nowe wydanie

SŁYNNEJ UNIWERSALNEJ

KSIĄŻKI KUCHARSKIEJ

MARJI OCHOROWICZ-MONATOWEJ

Jest to 112 tysiąc tej niezrównanej książki

DEKORACJE WNĘTRZ

TAPETY — FIRANKI — KLUBY

SALONY — MATERJE MEBLOWE

T. KYSIAK i Synowie Lwów

Sklep pl. Smolki l. 4 — Tel. 40-09

Zakłady Kościuszki 20 — Tel. 19-85

SZKÓŁKI JULIANA Br. BRUNICKIEGO

PODHORCE KOŁO STRYJA

POLECAJĄ:

DRZEWA owocowe, ozdobne — RÓŻE — BYLINY (kwiaty zimotrwałe) — DALIE

CENNIK NA ŻĄDANIE 1329

Gütermann

jedwab do szycia



Chusteczki lniane

męskie i damskie białe

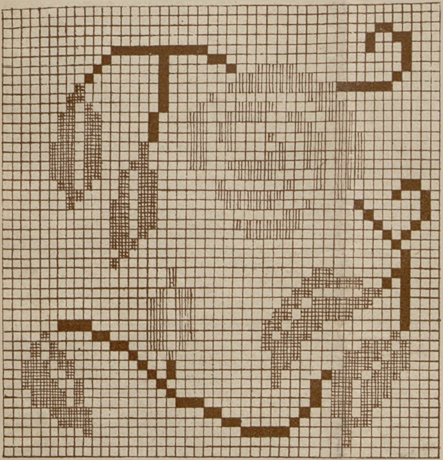
okazyjnie za połowę ceny fabrycznej sprzedaje

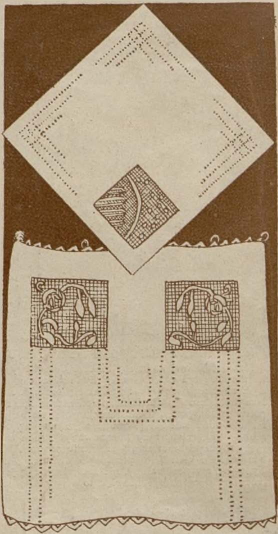
„CHUSTECZKA"

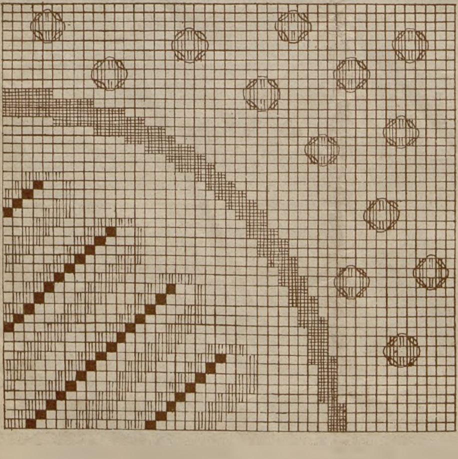
MARJA NOWORYTOWA

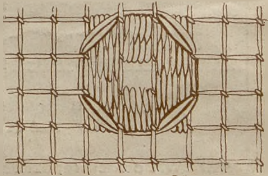
PRACOWNIA HAFTÓW ARTYSTYCZNYCH

LWÓW, ZIMOROWICZA 17. Tel. 7-80 1302









53

ROBOTY SIATKOWE

Szerokie zastosowanie mają kwadraty siatkowe. Tworzą piękną ozdobę serwetek, stór, zazdrostek i bielizny pościelowej.

Można je skombinować z mereżką i haftem angielskim, albo włoskim, lub też użyć ich bez tego.

Motywy, które podajemy, można również zastosować do dużych stór siatkowych, powtarzając je dowolnie.

Rycina 53 przedstawia sposób podkreślenia drobnego szczegółu przy pomocy obwleczenia kilkakrotnego nitką

Z. KULCZYCKA

Dodatek do Nru 4go. „Świata Kobiecego" rok 1932. Opis w numerze.



Dodatek do Nr [illegible] „Świata Kobiecego" [illegible] 1932 [illegible]

